



# ORZEŁ BIAŁY

## Polska walcząca o wolność

ROK XVIII SOBOTA, 7 czerwca 1958 r. NR. 23 (831)

# DE GAULLE U WŁADZY

**W** WYNIKU niezdolności sprawowania władzy przez normalny rząd partyjny, prezydent Coty powierzył misję utworzenia rządu generałowi de Gaulle. Stał on przed parlamentem i w przewidziany prawem sposób uzyskał zatwierdzenie na stanowisku premiera. W rządzie jego znaleźli się jako ministrowie: poprzedni premier, chrześcijański demokrat Pflimlin, przywódca socjalistów Mollet, prawnikowie Jacquinet i Houphouët-Boigny, murzyn z francuskiej Afryki Ekwatorialnej. Sprawy zagraniczne otrzymał p. Murville, który był ambasadorem w Bonn, a poprzednio w Waszyngtonie. Zaden z przywódców rewolty algerskiej nie został powołany do rządu, co wywołało rozczarowanie w Algierze.

De Gaulle doszedł do władzy w atmosferze obawy przed zamachem stanu. Główną rolę w powołaniu go na stanowisko szefa rządu odegrali: prezydent Coty, były prezydent, socjalista Auriol i przywódca socjalistów, Mollet, wbrew opinii wielu polityków członków władz partyjnych. Ci trzej ludzie działali w tym wypadku jak niezłomni, a nie jak politycy partyjni. Powszechną niespodzianką było, że de Gaulle zażądał pełnomocnictw tylko na pół roku. W ciągu tego półroczia ma on wykonać dwa zadania: zreformować konstytucję tak, żeby zapewnić Francji trwałość rządów, oraz załatwić kwestię algerską.

Jak o tym wiedziano już w starożytnym Rzymie, trudno niekiedy powstrzymać się od satyry. Oto gdy we Francji powołuje się do władzy de Gaulle'a zgodnie ze wszystkimi formalno-prawnymi wymaganiami francuskiej demokracji parlamentarnej, w W. Brytanii garstka lewicowych intelektualistów postanawia stworzyć „komitet obrony demokracji...“ we Francji. A tymczasem pierwszym zarządzeniem premiera de Gaulle było zniesienie cenzury prasowej.

Ten szczegół jest śmieszny. Okrzyki „faszyzm!“, wznoszone przez komunistów i ich „towarzyszy podróży“ są niedorzeczne, choćby tylko dlatego, że hitlerzyzm i faszyzm przegrały wojnę i doprowadziły kraje, w których te dwa kierunki polityczne rządziły, do ruiny. Trudno jest więc spodziewać się, by myślicy na serio ludzie próbowali wskrzeszać prądy polityczne i ustroje państwowe, które nie wytrzymały próby życia i zostały potępione przez historię w sposób najbardziej przekonujący — gdyż przez klęskę. Komunisti wrzeszczą przeciw „dyktaturze“, bo zmierną ją do wprowadzenia dyktatury własnej. A o gen. de Gaulle należy pamiętać przynajmniej jedno: jest on rzadkim okazem „człowieka politycznego“, który umie rzec się do władzy.

**I** NNA syrawa, i całkiem poważna, to obawy w krajach zachodnich, że nastąpią zmiany w polityce francuskiej w takich dziedzinach jak Sojusz Atlantycki, integracja gospodarcza Europy Zachodniej, pogodzenie się Francji z Niemcami, stosunek do Rosji w ogóle i „spotkanie na szczycie“ w szczególności. W tych sprawach osadza się de Gaulle na podstawie przeszłości, na podstawie tego, co robił podczas wojny i bezpośrednio po niej. Przeciwwstawiał się on wówczas ostro hegemonii mocarstw anglosaskich na Zachodzie i szukał przeciwwagi w Rosji. Dla zdobycia poparcia Rosji pierwszy raz użył przemocy socjalistycznej w Polsce, narzucając przemocą sowieckiego oręza. Zawarł on również już po wojnie traktat przyjaźni i nieagresji z Rosją, na wzór tajnego traktatu rosyjsko-brytyjskiego, zawartego podczas wojny. Rosja później oba te traktaty wycofała.

Ta ostatnia okoliczność zmniejsza prawdopodobieństwo jakichś „awansów“ de Gaulle'a w stosunku do Rosji. Prasa brytyjska przytacza różne cytaty z wypowiedzi i pism de Gaulle'a w poprzednich latach, między innymi jego opinie, że przeznaczeniem Francji jest stać się pomostem między Wschodem i Zachodem. Ten pogląd jednak wcale nie był oryginalny, osobistą własnością de Gaulle'a. Była to bardzo rozpowszechniona opinia wśród francuskich kół politycznych wszystkich partii. Fakty jednak, przede wszystkim fakty, stwarzane przez politykę sowiecką, w nieczym nie potwierdziły słuszności tej teorii i w ostatnich latach politycy francuscy przestali o tym mówić.

Przez trzy lata gen. de Gaulle milczał. Sytuacja przez ten czas się zmieniła. Jest mało prawdopodobne, by myślicy polityki nie zmienił w tych warunkach niektórych swoich poglądów. Ale de

Gaulle milczał, i nikt nie wie na pewno, co myśli teraz. Gdy chodzi o zagadnienie np. integracji gospodarczej Europy, a więc Wspólnego Rynku, Euratomu, Wspólnoty Węgla i Stali, to wejście do rządu dwóch gorliwych architektów tego dzieła, pp. Pflimlin i Mollet, uzasadnia przypuszczenie, że de Gaulle dał im rękojmię, że powyższych umów nie obali. W kołach paryskich obiega wiadomość, że de Gaulle istotnie dał taką obietnicę.

Myśląc praktycznie, należy sądzić, że de Gaulle, postawiwszy sobie dwa zadania — reformę konstytucji oraz załatwienie sprawy Algeru, i mając na to półroczne pełnomocnictwa — nie będzie chciał stwarzać sobie w tym czasie dodatkowych trudności i zadrzań z państwowymi sojusznikami. Jeśli mocarstwa zachodnie mają wątpliwości co do jego zamiarów na polu polityki zagranicznej, to mają doskonałą sposobność, by sprawę zbadać. Przecież premier Macmillan będzie w dniach 9 i 10 czerwca w Waszyngtonie, by odbyć rozmowy z prez. Eisenhowerem. Mogłoby oni zaprosić na te rozmowy i premiera de Gaulle'a. Wedle wiadomości prasowych myśl taka jest w Waszyngtonie rozważana, ale podnoszone są sprzeczności, że de Gaulle się obrazi, iż zostaje zaproszony w ostatniej chwili, kiedy nie ma czasu na przygotowanie się. Na razie, w środę 4 czerwca, udał się do Algeru.

**M**OCARSTWA anglosaskie bardzo rozsądnie wstrzymują się obecnie od wszelkiej akcji politycznej na terenie Afryki Północnej, zostawiając te sprawy Francji. De Gaulle nie tylko wyjechał 4 czerwca do Algeru, ale wysłał przyjazne orędzie do króla Maroka i prezydenta Tunisu. Natomiast niektóre koła amerykańskie grożą Francji naciskiem finansowym, oświadczając, że Ameryka nie „wykupi“ Francji z kłopotów finansowych. W tym duchu odezwał się też minister gospodarki narodowej Niemiec Zachodnich, prof. Erhardt, zapowiadając wstrzymanie dalszych kredytów dla Francji, udzielanych w ramach Europejskiej Unii Platniczej, celem pokrywania deficytu w handlu międzynarodowym.

Słowem, niektóre czynniki amerykańskie i zachodnio-niemieckie, zamiast pró-

(Dokończenie na str. 5)

**W NUMERZE:**  
**Z**ołnierz, wychowawca, historyk (Wspomnienie o s. p. płku Lityńskim) — A. Sawczyński.  
**Z** powodu nowego wydania „Dzieł Wł. Nowożytnych Polski“ — J. Jasnowski.  
**J**ak Lotnicy Afrykańscy nieśli pomoc Warszawie — kpt. J. L. van Eyssen (Dokończenie).  
**H**istoryczne związki Magrebu z Europą — Cz. Jeśman.  
**M**ałcużyński w Żelazowej Woli — S. Niekraszowa.  
**„**Cracovia“ w Londynie (Przełąd Sportowy).  
**K**arykatura polityczna — „Sek“.  
**M**iędzy plotką i anegdotą. Kroniki: wojskowa, kulturalna i filmowa. Dodatek Zarz. Gł. SPK. „W stanic“ (72).  
**K**rzyżówka konkursowa Nr 276 z nagrodami.

## X. WALNY ZJAZD ROLNIKÓW POLSKICH W WIELKIEJ BRYTANII

### Pozdrowienia dla rolników w Kraju — Potępienie kontaktów z reżymem

**W** NIEDZIELE, dnia 25 maja odbył się w Londynie w „Ognisku Polskim“, X. Zjazd Związku Rolników Polskich w W. Brytanii.

Zagajony przez prezesa dr. K. Krzczunowicza w obecności 80 delegatów i licznych gości. Zjazd powołał prezydium w osobach gen. inż. M. Januszajtisa (delegata z Kentu), płk. L. Lichtarowicza (z Nottingham), p. A. Lubkowskiego (z Devonu) i p. Olszewskiego (z Walii). Krótkie powitanie Zjazdu rozpoczął, serdecznie przyjeżdżając, gen. W. Anders, który wskazał na tradycyjne cnoty polskiego rolnika, zachowane również na uchodźstwie oraz na ich wytrwałą wolę powrotu do wolnej Polski. Prezes EZN p. A. Ciołkosz z kolei przedstawił dzieje powojennej polityki międzynarodowej oraz wskazał na słuszność naszej decyzji pozostania na emigracji i prowadzenia z terenu krajów wolnych dalszej walki o demokrację i niepodległość Polski. P. Z. Szadkowski pozdrowił Zjazd imieniem SPK i Związku Harcerstwa Polskiego.

### O SYTUACJI W POLSCE I ZADANIACH EMIGRACJI

Następnym punktem programu był referat dr. Zdzisława Stahla, zaproszonego do prelekcji na temat „Sytuacja w Polsce a zadania emigracji“. Mówca poddał analizie zmiany, wymuszone przez społeczeństwo polskie na osłabłym wówczas reżymie w ciągu roku 1956 i wskazał, że nie naruszając podstaw komunistycznego ustroju ani sowieckiego panowania, nie były one, niestety, istotne, ani też nie mogły okazać się trwałe. Nawet najdalej nosiły ulgi w rolnictwie, gdzie komunisti musieli pogodzić się czasowo z całkowitą niemal klęską kolektywizacji czyli z rozpadnięciem się tzw. spółdzielni produkcyjnych, nie mogą być uważane za osiągnięcie trwałe, póki komunizm — w ramach sowieckiej przemocy — ma możliwość powrodo do realizacji swoich celów. Tak nawrócił do nich np. w samej Rosji po okresie Nowej Polityki Ekonomicznej, która przetrwała jednak kilka lat. Skoro więc sytuacja kraju nie zmieniła się ani zasadniczo, ani trwałe, zadania emigracji niepodległościowej nie mogą również ulec zmianie. Nadzieje nasze winniśmy wiązać nie z przejściowymi zwrotami taktycznymi, lecz z całkowitym załamaniem się komunizmu oraz sowieckiego imperium Moskwy. Po prelekcji dra Z. Stahla rozwinęła się krótka dyskusja, w której uczestnicy Zjazdu ujawnili zupełną zgodność z tezami referatu.

### OSIĄGNIĘCIA I ZAMIERZENIA ZWIĄZKU

Z kolei nastąpiły sprawozdania władz Związku, z których wynika jego wielostronna i pozytywna rola oraz zdrowe, samodzielne podstawy materialne. Cho-

ciaż rolnicy, czyli farmerzy i robotnicy rolni, których obejmuje Związek, stanowią zaledwie 1% ogółu emigracji, liczą oni kilkaset członków, zorganizowanych w 16 kół rejonowych i rozwijają intensywną, społeczną i fachową działalność.

Związek, którego główna kwatery mieści się we własnym domu w Londynie (64, Denbigh St., S.W.1) i skąd kieruje pracami organizacyjnymi inż. L. Woronowicz, jej sekretarz generalny i zarazem dusza stowarzyszenia, prowadzi działy: poradnictwa zawodowego i pośrednictwa handlowego oraz gospodarczego, ubezpieczenia od chorób i wypadków; dalej posiada Związek własną bibliotekę fachową i zaopatruje w książki rolników w kraju, wydaje kilka czasopism fachowych, jak organizacyjne „Wiadomości Z.R.P.“, „Przewodnik Farmerski“, „Przewodnik Ogrodniczy“ i „Biuletyn“ koła hodowców pieczarek. Ponadto Związek Rolników współdziała w najważniejszych akcjach społecznych i oświatowych, jak zbiórki na Fundusz Oświaty Polskiej Zagranicą i „Dar Narodowy 3 Maja“, wreszcie rozwija kontakty z rolnikami w kraju.

Jesienne Dożynki, odbywające się pod protektorem gen. Andersa, stanowią doroczną manifestację Związku, podtrzymującą tradycje narodowe i skupiającą dookoła nich szerokie koła emigracji. Jednym z ważnych zamierzeń Związku jest zakupno „Społecznego Domu Rolnika“, który miałby zapewnić dach nad głową i własne środowisko dla starszych wiekiem rolników. Zbiórka funduszy na ten dom, która odbywa się w drodze sprzedaży eggiełek, przy czym zakupno ich na sumę £100 zapewnia prawo do zamieszkania w Domu, idzie dotąd powoli i Zjazd wezwał do wzmocnienia tempa akcji.

### REZOLUCJA

Po sprawozdaniach władz Związku i obszernej, ożywionej dyskusji organizacyjnej Zjazd uchwalił szereg rezolucji, z których najważniejsze zwracały się do rolników w kraju oraz przestrzegały emigrację przed akcją placówek reżymu. Pierwsza z nich przelała „Braciom Rolnikom w Kraju serdeczne pozdrowienia i wyrazy radości z powodu wzrostu produkcji gospodarstw indywidualnych, na skutek zniesienia przymusu kolektywizacji. Przeprowadzenie komasacji, melioracji i parcelacji PGR utrwali stan posiadania chłopskiego i podniesie dobrobyt wsi polskiej. Pozostaje do urzeczywistnienia nasza wspólna troska odzyskania Wolnej i Niepodległej Polski“.

Dруга z wspomnianych rezolucji brzmi:

„X Walny Zjazd Związku Rolników Polskich w Wielkiej Brytanii stwierdza, że utrzymywanie kontaktów z placówkami dyplomatycznymi tzw. Polskiej Republiki Ludowej, mające charakter uznawa-

## POCZĄTEK NOWEJ ERY WE FRANCJI

**P**OWOŁANIE rządu gen. de Gaulle'a zakończyło formalnie kryzys rządowy we Francji i, dodajmy, zakończyło szczęśliwie, bo bez doprowadzenia do wojny domowej. Francja i jej przyjaciele na świecie odetchnęli z ulgą. Jest jednak oczywiście, że koniec kryzysu rządowego nie oznacza jeszcze kresu kryzysu politycznego, którego zażegnanie zależeć będzie w dużej mierze od tego, jak gen. de Gaulle będzie rządził i czego dokona, na podstawie szerokich pełnomocnictw, jakie uzyskał od izb ustawodawczych na przeciąg sześciu miesięcy.

Rząd jego powstał na drodze legalnej z zachowaniem wszystkich przepisów konstytucyjnych. Powołał go prezydent Republiki po wystosowaniu dramatycznego orędzia do obu izb. Orędzie to przeważało szalę na rzecz gen. de Gaulle'a. Zgromadzenie Narodowe zatwierdziło postanowienie prezydenta.

Trzeba jednak pamiętać, że u genezy obecnego kryzysu była rewolta w Afryce, faktyczne wypowiedzenie posłuszeństwa przez dowódców armii w Algierii rządowi p. Pflimlin, opamiętanie Korsyki przez oddziały spadkobronowe, hałaśliwe domaganie się powrotu gen. de Gaulle przez skrajne i mało odpowiedzialne grupy, znajdujące się na prawo od prawicy. Towarzyszyła temu zażądania kampania komunistyczna przeciw gen. de Gaulle z nieudalnymi zresztą próbami „wyjścia na ulicę“ — i w gruncie całko-

wita niemal bierność społeczeństwa francuskiego w metropolii. Podniecenie w Algierii, zwłaszcza osadników francuskich, bierność we Francji — oto sytuacja, którą zastał rząd gen. de Gaulle.

Z sytuacji tej gen. de Gaulle wysnuł już wnioski przy obsadzie tek ministerialnych. Wykazał przy tym dużą zręczność i równowagę męża stanu. Rząd składa się z osobistości parlamentarnych i pozaparlamentarnych fachowców. Udział parlamentarzystów nadaje rządowi charakter koalicyjny: b. premier Pinay reprezentuje prawicę, socjalista i b. premier Guy Mollet — lewicę, znienamówiony w Algierii b. premier Pflimlin (a nie „gaullista“ Bidault) — katolickie centrum. Jest rzeczą charakterystyczną, że w rządzie nie są reprezentowane żywioły skrajne, najgłośniej powołujące się na de Gaulle'a, nie ma w rządzie przywódców rewolty w Algierii i najbardziej firmowych „gaullistów“, jak Soustelle. Jest natomiast znakomity pisarz i dawny współpracownik de Gaulle'a André Malraux, nie zajmujący się czynną polityką, i Michel Debré, który jako minister sprawiedliwości powołany będzie zapewne do sformułowania zasad nowej konstytucji.

Przypominają się słowa marszałka Piłsudskiego, którego technikę dojścia do władzy w maju 1926 r. i późniejsze jego rządy gen. de Gaulle podobno specjalnie studiował. „Gdy szukają mnie na lewicy, uciekam na prawicę, gdy szukają mnie na prawicy, uciekam na lewicę“.

Gen. de Gaulle objął rządy w porozumieniu ze znaczną częścią lewicy (do lewicy nie zaliczamy oczywiście komunistów). Wiedząc o kluczowej roli socjalistów w parlamencie gen. de Gaulle szczególnie dbał o dojscie z nimi do ugody. Wybitni socjaliści, Vincent Auriol i Guy Mollet, bardzo mu w tym dopomogli. Postępując w ten sposób gen. de Gaulle dał dowód, że chce pozostać całkowicie niezależny nawet w stosunku do własnych ludzi. Zachował tym samym dla siebie swobodę manewru na przyszłość.

Niezależność jest nowemu premierowi potrzebna dla osiągnięcia pierwszego celu jego rządów, t. j. przywrócenia autorytetu państwu i zapewnienia posłuchu dla władz państwowych. Posłuchu tego nie zdołał wymusić rząd p. Pflimlin. Potępił on wypadki na Korsyce, ale nie potrafił, ani nawet usiłował przeprowadzić tam swej woli. To zdecydowało nie tylko o upadku rządu Pflimlin, ale i systemu politycznego IV Republiki. Na czele państwa musi stać rząd, który rządzi. Gdy rządu w praktyce nie ma, wytworzoną próżnię zapełnia ten, kto reprezentuje w danej chwili największą siłę. Gen. de Gaulle, ciesząc się osobistym autorytetem, mając zaufanie parlamentu i oddaną sobie armię, posłuch ten zapewnił sobie z dużą — przypuszczalnie — łatwością.

Drugie zadanie, które stoi przed nowym premierem Francji, to problem Algierii. I tu będzie musiał gen. de Gaulle rzucić na szalę cały swój autorytet. Jego datujące się jeszcze z

(Dokończenie na str. 8)

### P. MELCHIOR WANKOWICZ WYJECHAŁ DO KRAJU

Uporczywe pogłoski o powrocie p. M. Wankowicza do Kraju sprawdziły się przed kilku dniami, gdy przybył on do Gdyni na M/S Batorym. Z wywiadów w prasie warszawskiej i prowincjonalnej wynika, że nie jest to okresowa wizyta. Z wypowiedzi żony p. Wankowicza, przytoczonej przez „Express Wieczorny“ i „Słowo Powszechne“ wynika, że przydzielono mu mieszkanie na ulicy Pułaskiej w Warszawie, co jest normalną procedurą przy braniu pisarza pod opiekę przez reżym komunistyczny. P. Wankowicz mówił o planach wykonania swej trylogii i o nowej książce na temat swych wrażeń z pobytu w Kraju.

Jak wiadomo za poprzednim pobycem w Polsce p. Wankowicz podpisał umowę wydawniczą, na druk przekształconej wersji swego reportażu o bitwie pod Monte Cassino.

W dość szeroko kolportowanych listach p. Wankowicza tłumaczył z góry możliwość swojej decyzji, przepłatając tłumaczenia narzekaniami na brak entuzjazmu jaki w stosunku do niego wykazywała ostatnio emigracja niepodległościowa. Krok p. Wankowicza nikogo nie zaskakuje, gdyż jego artykuły i ogólna działalność w ostatnich kilku latach wskazywała na gotowość rezygnacji ze stanowiska wolnego pisarza polskiego i podporządkowania się władzom „polskiej rzeczywistości ludowej“.

P. Wankowicz nie powiedział dotychczas czy będzie się starał o zachowanie obywatelstwa amerykańskiego.

KPT. J. L. VAN EYSEN

## Jak lotnicy afrykańscy nieśli pomoc Warszawie (II)

LOTY do Warszawy, podjęte przez Płd.-afrykańskich, brytyjskich i polskich lotników w 1944 roku należały prawdopodobnie do najbardziej ryzykownych i trudnych zadań wojennych. Wiele z ich prztygód i cudownych ocalań może się mierzyć z każdym nawet najbardziej niezwykłym wyczynem w powodzi książek o wojnie powietrznej. Z wielkiej ilości załóg, które przysporzyły imieniu Płd.-afrykańskim Siłom Powietrznym — trzy zasługują na specjalną wzmiankę, aby nie były zapomniane z biegiem czasu.

Zaraz po zrzuconiu zasobników mjr Bill Senn D.F.C. został silnie ostrzeżony przez lekką artylerię przeciwlotniczą. Był on ciężko ranny, a wszystkie kontrolne przewody samolotu zostały uszkodzone; połączenia manetkowe z jednym silnikiem — przecięte, a cała wewnętrzna sieć telefoniczna — niezdadna do użytku. W pewnej chwili, oślepiiony przez reflektory, leciał beładnie poniżej dwustu stóp nad ziemią, gdyż załoga straciła panowanie nad samolotem. Gdy maszyna spadała nosem ku ziemi a koniec wydawał się już kwestią sekund, — Bill przypomniał sobie o „pilocie automatycznym” i włączył odpowiedni kontakt. Aparat był nastawiony na lot wprost, w poziomie, i samolot został wepchnięty w położenie normalne. Bill stał teraz przed koniecznością kierowania przy pomocy trzech galek regulacyjnych i jednej — do sterowania; każda z nich miała średnicę około pensa. Obracając je palcami ustawił samolot na odpowiedni kąt wzniesieniowy, przy pomocy zaś koła sterowego (*turn control disc*) unikał dalszej interwencji reflektorów i artylerii; korzystał z każdej wolnej chwili, by przyciskać rękę na swej nodze, by tamować upływ krwi.

W ten sposób wznosił się na powrotny kurs, ale Włochy odległe były wciąż jeszcze o 1000 mil... Przy uszkodzonym silniku zmierzło to 5 lub 6 godzin lotu pod warunkiem, że nie będzie straty paliwa z samoczynnie zasklepiających się zbiorników. Sam jednak tracił coraz więcej krwi. Gdy minęli Kraków a najgorsze było za nimi, — polecił załodze, by sprawdziła dalsze uszkodzenia samolotu. Wykryto przede wszystkim, że cały system przewodów hydraulicznych był nieczynny i nie można go naprawić; powodowało to konieczność lądowania bez kłap, hamulców i ręcznych dźwigni. Zastosowanie „roboty” do lądowania nie było wówczas jeszcze praktykowane; nie wiedział również, jaką mocą silników będzie mógł dysponować, jeżeli w ogóle osiągną bazę. Jedyną pociechą była myśl, że będzie to za dnia.

Samolot brzęczał leniwie już 4 godziny, dążąc w ciemnościach ku południu bez żadnych wypadków, gdy nagle stał się celem dobrze ułożonej salwy artylerii przeciwlotniczej. Spowodowała ona dalsze, powierzchowne szkody. Bill wykonał częste zwroty i w ten sposób zabezpieczył się przeciwko następnym dwu czy trzem salwom, zapewne już śmiertelnym.

Następna niebezpieczną zoną był Dunaj, gdzie można było oczekiwać patrolujących myśliwców nocnych. Największą trudnością w tym wypadku byłyby niemożność porozumiewania się ze strzelcami i odwrotnie.

Wschód zaczął jaśnieć zanim osiągnęli brzeg Jugosławii. Na koniec lecieli ponad Adriatykiem, już przy świetle dziennym. Nie należało już się obawiać wykrycia przez nieprzyjaciela, natomiast przy tak ułomnym stanie samolotu problem lądowania nabierał coraz realniejszych i groźniejszych kształtów. Załoga pokladała w swym dowódcy nieograniczone zaufanie i odmówiła zeskoku na spadochronach, gdy znajdą się nad Italią. Tu Bill wprowadził w życie swój plan, który wydawał mu się możliwym do urzeczywistnienia przy regulowaniu szybkości samolotu w zetknięciu się z ziemią. Kazał przywiązać spadochrony koło ogona, tuż przy obu oknach, na zewnątrz kadłuba samolotu, w opływającym go prądzie powietrza. Ponieważ połączenie telefoniczne nie było czynne — wyznaczył po jednym człowieku do każdego spadochronu; pozostali trzej byli rozstawieni jako łańcuch łącznikowy na takiej odległości, jaka pozwalała na przekazywanie rozkazów krzykiem. Następnie zaczął krążyć nad ziemią i otworzył zaciski kół ręcznie, a gdy te wypadły — ustalili je w położeniu dolnym przez pochylanie samolotu z po-

czątku na jedną stronę, potem na drugą tak, że się zatrzasnęły w tym dolnym położeniu. W podobny sposób zostało „wykiwane” również i przednie koło po czym zamocowane ręcznie. W nieuszkodzonym samolocie cała ta operacja wykonywana jest automatycznie przez ciśnienie hydrauliczne drogą zwykłego ruchu dźwigni w kabine pilota.

Teraz rozpoczęła się faza, która wszystkim przejmowała strachem. Zbliżenie i lądowanie na stosunkowo wąskiej bieżni przy użyciu ręcznych przyrządów absorbuje całą uwagę pilota, do czego jest on wdrożony od pierwszej lekcji pilotażu. Jak wspominałem Bill kierował i zbliżał się do ziemi przy pomocy galek wielkości pensa. Drugi pilot pomagał mu, regulując dopływ gazu, sam zaś wykonywał swe bogate doświadczenie przez małe ruchy palcami, a potężny robot był mu posłuszny, jak najwinniejszy sługa. Silnik bez możliwości regulowania dopływu paliwa stanowiąc sam w sobie problem, dawał bowiem zaledwie 60 proc. mocy, a moc ta nie mogła być ani zwiększona ani zmniejszona. Ziemia wyruszała się i rosła pod nimi; należało włączyć silnik na prawym skrzydle i zmniejszyć dopływ paliwa do symetrycznego silnika na przeciwnym skrzydle. Wysokość i szybkość lądowania miała być regulowana przy pomocy dwóch pozostałych silników, i ta okoliczność zmniejszała znacznie szanse ponownej próby w wypadku, gdyby pierwsza zawiodła. Lecz zdecydowana postawa pilota zwyciężyła: Ołbrzymi bombowiec wyrównał, zwolnił i dotknął ziemi przy szybkości ponad 100 mil godz. Wszystkie silniki miały odciążone dźwignie, a Bill trzymał się osi bieżni, obracając jedną z galek i poruszając nią łagodnie; drugą opuścił przednie koło na ziemię. Ponieważ szybkość wcale się nie zmniejszała, Bill krzyknął: „spadochrony”. W ciągu kilku sekund rozkaz ten został przekazany na koniec pokładu, i spadochrony otworzyły się. Z początku jedwab trzepotał niespokojnie po obu stronach kadłuba, lecz w chwilę potem obydwa wbrały wiatru i wydeły się całkowicie. Pozostaje dotąd tajemnicą, w jaki sposób jedwabna czasza i podtrzymujące ją linki, obciążone na hamowanie spadku tylko jednego człowieka, mogły wytrzymać tak wielki napór powietrza; a jednak nie zawiodły pokładanego w nich oczekiwania: wielki bombowiec zwolnił biegu i zatrzymał się przy samym końcu bieżni bez żadnych dalszych uszkodzeń.

Wstrząśnięta załoga zeszła z samolotu. Bill zaś został pośpiesznie przewieziony do szpitala, gdzie spędził wcale długi okres czasu. Po powrocie do Dywizjonu otrzymał natychmiast wysokie odznaczenie D.F.C.

*Porucznik Groenewald* był drugim pilotem na *Liberatorze*, zaatakowanym i śmiertelnie uszkodzonym przez myśliwca niemieckiego tuż nad Warszawą. Gdy samolot zaczął się palić, dowódca, *kpt. Odendaal*, kazał całej załodze wdziać spadochrony i przygotować się do skoku. *Groenewald* wreczył kapitanowi zwinięty spadochron i sięgnął po swój. W momencie, gdy chwycił za ucho pakunku — nastąpił wybuch benzyny. Okazało się później, że tylko on jeden ocalał. W pewnej chwili uświadomił sobie, że spada jak kamień wśród chłodu nocy ze zwiniętym spadochronem, jakby z tęczką pod pachą. Zareagował szybko: przeciął worek o hak szelek, i spadochron otworzył się o kilkadziesiąt stóp nad ziemią. Depiero po wylądowaniu zauważył, że ma ciężko popaloną twarz i ręce. Na szczęście odnaleziony został przez polskich żołnierzy, którzy zabrali go do szpitala armii podziemnej. Tokonano transplantację skóry, a gdy poczuł się zdrowy — poprosił o karabin i walczył o wolność wraz z Armią Polską dopóki jej bohaterские wysiłki nie zostały unicestwione przez wroga. Uciekł później przez linie rosyjskie.

*Porucznik Bob Burgess* objął komendę nad *Liberatorem* i jego załogą po ataku i ciężkich uszkodzeniach, zadanych przez myśliwca nieprzyjacielskiego nad samą Warszawą. Jeden z silników został trafiony, i samolot zaczął spadać śrubowo. Bob zdołał jednak ześliznąć się w poprzek na fotel pilota i skręcić na wschód. Jako drugi pilot był powołany do pełnienia obowiązków technicznych i nigdy nie miał do czynienia z kierowaniem *Liberatora*. Z powodu przebiecia silnika oraz innych uszkodzeń konstrukcyjnych było wyjątkowo trudno prowadzić tak wielki samolot, a Bob musiał

również wykonywać uniki, aby zabezpieczyć się przeciw myśliwcom, które go prześladowały.

Główny kompas w ogniu został uszkodzony; powodowało to obracanie się igiel w zegarach kabiny. Nawigator *porucznik Noel Slead* zajął miejsce drugiego pilota obok *Burgessa* i pełnił obowiązki obydwu. Lecieli na wschód, kierując się Gwiazdą Północną. I tym razem uniknęli wrogich myśliwców. *Burgess* wyjaśnił załodze swój brak doświadczenia w pilotażu i zezwolił na wyskoczenie z samolotu nad terytorium rosyjskim; wszyscy cc do jednego odrzucili tę propozycję.

Wiadomo, że czteromotorowiec zużywa więcej benzyny przy trzech silnikach, — stąd o świcie lądowanie stało się koniecznością. Znajdowali się nad obcym krajem bez żadnych map; poszukiwanie rosyjskich lotnisk byłoby bezowocną stratą czasu. Wypatrzyli w końcu poziomy, choć wąski pas ziemi, który mógł być bieżnią opuszczonego lotniska. *Burgess* okrążył ten teren, zniżył się i pomyślnie wylądował. Sprawność i odwaga zastąpiły tu brak doświadczenia. *Slead* zarobił D.F.C., *Burgess* zaś był najmłodszym oficerem, który uzyskał prawo noszenia wstążeczki D.S.O. Obydwa odznaczenia nadane zostały natychmiast.

Jesteśmy zawsze zażenowani szczerym uznaniem dla naszych wysiłków, jakim darzą nas Polacy w kraju i zagranicą, a którego nie przestają wyrażać. Jesteśmy speszzeni, gdyż ich uznanie przerasta skalę naszych czynów.

Nie potrafię wyrazić słowami naszych uczuć względem Polaków, walecznie broniących się tydzień po tygodniu w płonącej stolicy, otoczonej przez przeważającego liczebnie wroga, lepiej uzbrojonego i zaopatrzonego w nieograniczoną ilość żywności, wody i pomocy sanitarnych. Na początku mało wiedziliśmy o polskich żołnierzach i lotnikach, walczących ramie przy ramieniu z nami na innych teatrach wojny. A jednak wszędzie uzyskali oni wkrótce i utrzymali opinię nieustraszonych, zdecydowanych, bezkompromisowych i pomyślnych w walce. Posiadała oni wszelkie zalety, jakimi pragnęlibyśmy obdarzyć prawdziwego żołnierza. Wiemy też, że Niemcom nie było łatwo na ulicach Warszawy w roku 1944.

Cpt. J. L. van Eyssen

Z upoważnienia Autora tłumaczyl  
(—) A. Wejtko

Pretoria, maj 1958.

CZESŁAW JESMAN

## Historyczne związki Magrebu z Europą

WYSTARCZY rzut oka na jakąkolwiek mapę Morza Śródziemnego i parę ogólnikowo zapamiętanych wiadomości historycznych, żeby uzmysłowić sobie iż Magreb, do niedawna jeszcze tzw. Francuska Afryka Północna, tzn. Maroko, Algier i Tunis są z jednej strony zamkniętą w sobie całością, z drugiej zaś posiadają znacznie bliższe związki organiczne z Europą aniżeli z Afryką „Czarna” czy z muzułmańskim Bliskim Wschodem. Najciekawsza jest przy tym, niewątpliwa afrykańskość i muzułmańskość obszaru. Historia polityczna, podboje arabskie, mauretańska Hiszpania, europejska kolonizacja dawnych kryjówek piratów, aż do blażyskich pomachiwań Mussoliniego „mieczem Islamu” są na ogół znane. Ale zupełnie zapomniany jest inny aspekt tego niezmiernie złożonego zjawiska: aspekt religijny.

I nacjonalisci arabscy i apologetci chrześcijańscy, szczególnie jeżeli są Francuzami, ani rusz nie mogą wyznaczyć się ze schematu wrogoci Krzyża i Miecza, stuleci zbrojnych zmagają, tysiącletnich wzajemnych załóg. Oczywiście wyprawy krzyżowe nie są wymysłem propagandy Nasser'a. Ale wrogoci ta nie była ani ogólna ani nieuchronna. I właśnie Magreb może tu służyć jako doskonały przykład:

Afryka rzymska należała do tych prowincji Imperium, które zostały najwcześniej ochrzczone. Po edyktie mediolańskim Chrześcijaństwo zapanowało tam całkowicie i przetrzymało i najład Wandalał i rozpadnięcie się administracji bizantyjskiej. W gruncie rzeczy nawet herezje, jak np. Donatystów, które narobiły tyle zamieszania miały charakter polityczny raczej, przynajmniej na początku, aniżeli religijny. Może więc ponosiła tu polityka administracyjno-kościelna: już św. Augustyn narzekał na brak katechetów, znających miejscowy język berberyjski; Afryka chrześcijańska pierwszych wieków była zbyt wyłącznie łacińska.

Najład arabski w VII wieku zastał tam około 500 stolic biskupich. Wbrew ogólnie przyjętemu przekazom tradycyjnym w Afryce północnej, podbój muzułmański nie był specjalnie krwawy. Berberowie stawiali mu opór zbrojny — a jedną z bohaterów jego, Kahena, berberyjska Joanna D'Arc, przeszła do legendy historycznej, ale wobec chrześcijaństwa zdobywczy zachowywali się powściągliwie. Zresztą ludność podmiowana przez donatyzm przyjmowała Islam chętnie, uważając go za odmianę chrześcijaństwa. Takiego zdania był zresztą w 5 stuleci później Dante Alighieri, chociaż miał dużo więcej wiadomości historycznych i teologicznych od berberyjskich chłopów i koczowników. W tym okresie jednakże gminy chrześcijańskie rozproszone były. Wiele z nich uszło na Saharę i do dziś dnia pewne tradycje chrześcijańskie zachowały się np. w

miastach Tozeur, El Hama i Nefta wśród Tuaregów i aż nad środkowym biegiem rzeki Niger. Oczywiście muzułmańscy suwereni sprzyjali przechodzeniu poddanych na Islam. Ale ci Berberowie, którzy pozostali przy wierze przodków, nie byli prześladowani. Związki ich ze Stolicą Apostolską nie uległy zerwaniu. Na początku X wieku przeszło 40 biskupów rezydowało w swoich diecezjach w muzułmańskiej Afryce Północnej i odbywano przepisanie podróże do Rzymu, „ad limina” bez żadnych przeszkód. Kartagina, dzisiejszy Tunis, ciągle była stolicą Prymasa całej Afryki. Chrześcijaństwo wykuszało się spowoli, przede wszystkim dzięki zamieszkom w Europie. W końcu XII wieku arabsko-berberyjskie biskupstwo istniało w El Cala, w Tunisie, a biskup jego był zwany „kalifem” przez swoich wiernych. W sto lat później El Bekri, arabski historyk i podróżnik spotkał się z prosperującą gminą chrześcijańską w Tlemcen, na przeciwnym krańcu Magrebu.

Wyprawy krzyżowe, dość nieoczekiwane, nie naruszyły sielanki. Władcy mahometańscy Magrebu zberberyzowali się szybko i bardzo mało obchodzili ich trudności autentycznie arabskich współwyznawców z Kairu i Damaszku: były to zresztą niekończące się próby o zapomni wroni, kontyngentach i gotówce. A tymczasem warunki gospodarcze Magrebu były doskonałe. Przede wszystkim dzięki ułożeniu się poprawnych stosunków z „niewiernymi” sąsiadami po drugiej stronie Morza Śródziemnego.

Sultanie El Mehdi'a i Kairuanu już w XI wieku zawarli szereg traktatów przyjaźni z normandzkimi królami Syccylii. Szybko też utarł się zwyczaj wśród rycerstwa europejskiego, zaciągania się na służbę muzułmańskich sultanów Północnej Afryki. Chaucer w „Opowiadaniach Kanterburyjskich” zachował wizerunek ubożego rycerza, który wiele lat służywał w Afryce. W r. 1228 sultan El Mamun Almoah otrzymał od króla Ferdynanda III kastylijskiego posiłki w ilości 12 tysięcy jeźdźców podczas wojen z Almorawidami, berberyjskimi fanatykami z głębi Sahary, którzy najechali Andaluzję. Był to jednak wyjątek. Na ośroł sultanie i emirzy zatrudniali po 2—3 tysiące najemnego rycerstwa chrześcijańskiego, przede wszystkim jako swoją straż przyboczną, nie podejrzaną o szczerpawie i plemiennie powiązania i zdrożne, przeciw-sultańskie, lojalności. Korpusy takie istniały w Marakesz, Tlemcen, Tunisie i Bougie. Do rządu ciekawostek historycznych należy niewątpliwie fakt, iż kiedy św. Ludwik, król Francji, wylądował w r. 1270 w Tunisie, podczas wyprawy krzyżowej, miejscowe armie muzułmańskie, które stawały mu opór pozostawały pod dowództwem rycerzy chrześcijańskich: Fryderyka z Kastylii i Fryderyka Lanza. A co najciekawsze nie byli oni wcale renegatami. Stolica Apostolska zezwalała katolikom na służbę królom mahometańskiemu Zachodu. Pozostawała zresztą z nimi w stosunkach dyplomatycznych nawet w tych czasach kiedy na drugim końcu Morza Śródziemnego Saladyń, w morderczej bitwie pod Hattin zniósł na zawsze Królestwo Jerozolimskie, w teorii przynajmniej bezpośrednio lenno Jacego Świętego. W korespondencji Kurii zachowało się wiele listów prosiących muzułmańskich emirów, o zapewnienie posług religijnych swoim chrześcijańskim zaciętnym żołnierzom. Prośby te były z reguły załatwiane przychylnie.

Obok garnizonów tej „Legii Cudzoziemskiej” średniowiecza. Istniały we wszystkich portach północno-afrykańskich bogate kolonie kupców europejskich: włoskich, sycylijskich, katalońskich, walenckich, prowansalskich i flamandzkich, rządzących się własnymi prawami, pod opieką własnych konsułów, płacących ciężkie podatki i szybko bogacących się.

W tej atmosferze międzynarodowej żył i pisał jeden z najbardziej niezwykłych misjonarzy Kościoła, Raymond Lull. Dziś, ten Dominikanin jest uważany przede wszystkim za chwale literatury katalońskiej i autorytet mistyki katolickiej. Ale, był on też nieprzeciętnym myślicielem politycznym i misjonarzem. Urodzony na początku XIII wieku, bardzo szybko zrozumiał, iż nie może być mowy o „nawracaniu mieczem” muzułmanów i bogan. Głosił konieczność studiowania języków wschodnich, arabskiego i etiopskiego, aby zdobyć możliwość porozumienia się z heretykami i — w dalszej perspektywie — nawrócenia ich. Był procejem wszystkich instytutów orientalistycznych świata i szermierzem równości ras i cywilizacji. Jedno z jego dzieł apologetycznych, dedykowane zresztą głównemu duchownemu muzułmańskiemu Tunis, nazywał on „Setne Imię Boga”, nawiązując do nauki Koranu, mającej 99 imion Wszchemocnego. Mufi zresztą książkę przyjął z wdzięcznością. Już jako 84-letni starzec Lull, wybrał się na ostatnią wyprawę misyjną do Tunisu i o mało co nie został ukamienowany przez rozwieściezonych jego naukami muzułmanów. Może jest tu ukryty symbol szczególnie ważny dla obecnej chwili.

### SETNA ROCZNICA

### POLSKIEGO ZNACZKA POCZTOWEGO

Dziesiątki naszych rodaków na emigracji zajmuje się kolekcjonowaniem znaczków pocztowych. Wielu amatorów-filatelistów posiada bogate zbiory. Celem ułatwienia wymiany znaczków między zbieraczami, w Londynie zorganizowany został Związek Polskich Filatelistów. Organizacja ta ma na celu poza tym jeszcze udzielanie porad, wydawanie opinii co do wartości filatelistycznej znaczków, ich autentyczności, organizowanie odczytów, pokazów i wystaw oraz wydawanie periodyka informacyjnego o filatelistyce.

W związku z przypadającą w roku 1960 setną rocznicą wydania pierwszego polskiego znaczka pocztowego, nowo-

powstały Związek czyni przygotowania do upamiętnienia tej rocznicy. W tym celu amatorzy-zbieracze, posiadający już wspaniałe kolekcje znaczków polskich, przygotowują ciekawe eksponaty na tą rocznicę.

Związek posiada opracowany plan pracy na najbliższy okres. Wybrany ostatnio Zarząd ukonstytuował się w następującym składzie: prezes — *plk. J. Berrek*, wiceprezes — *inz. H. Ciupka*, sekretarz — *inz. M. Kotkowski*, skarbnik — *mir. M. Zebrowski*, członkowie Zarządu — *Zb. Włodarski* i *plk. K. Wojakowski*. Komisja Rewizyjna: *plk. A. Kaczmarczyk*, *mec. J. Łuczywek* i *J. Aleksandrowicz*.

### Najbardziej nowoczesne maszyny dziewiarskie

DZIĘKI SWOIM ZALETOM SZCZEGÓLNIC

### POPULARNE W KRAJU

### TRICOLETTE

(RIBOMATIC). Całkowicie zautomatyzowana. Ściągacz wykonywany automatycznie. 360 igiel w dwóch STALOWYCH łożyskach. Jedyny prawdziwie przemysłowy aparat nadający się do wszelkich odmian ściągacza, do wykonywania wielkiej rozmaitości wzorów jak również do fasonowania i okrężnego trykotowania bez szwu.

Obszerna polska instrukcja. Cena £ 46 (albo \$ 138)

### AUTO-KNITTER

181 igiel w jednym rzędzie. Długość 90 cm. Łożysko całkowicie stalowe. Dwustronna kontrola napięcia włóczki umożliwia wielką dokładność i rekordową szybkość, dochodzącą do 10.000 oczek na minutę. Maszyna najczęściej spotykana w Polsce. Niewspółmiernie niska cena w stosunku do wartości.

Obszerna polska instrukcja.

Cena z licznikiem £ 24 (albo \$ 72)

polca

NAJWIĘKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY

## TAZAB & CO LIMITED

Centrala:

TAZAB HOUSE  
22, ROLAND GRDNS,  
LONDON, S. W. 7.  
Tel. FRE 3175/6.

Oddział w Nowym Jorku:

36, 3rd AVENUE,  
NEW YORK 3, N. Y., USA.  
Tel. ALgonquin 4-4160/1.



# Polskie życie kulturalne

DALSZE STRATY I NOWE NABYTKI

Dalsze nazwisko na niezwykle obfitej w tym roku liście strat wojny kultury polskiej to prof. Tadeusz Grodyński, który zmarł nagle 24 ub.m. na serce. Po rektorze T. Brzeskim, prof. A. Zółtowskim, ubyla trzecia przodująca postać życia naukowego i akademickiego emigracji. Piastował kierownicze stanowiska we wszystkich instytucjach związanych z nauką ekonomii, której był wybitnym przedstawicielem. Nazwisko jego niejednokrotnie przewijało się przez łamy tej kroniki, zwłaszcza wówczas, gdy Stowarzyszenie Ekonomistów rozwijało ożywioną działalność, często zachęcającą o zagadnienia czysto teoretyczne i posiadała własne czasopisma w postaci „Ekonomisty Polskiego”. Na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie był przewodniczącym Komisji Wydziałowej Ekonomicznej. Był też po części doradcą gospodarczym Uniwersytetu. Jako członek Komitetu Administracyjnego.

★

Pożegnania zbiegają się z powitaniami. Tegoż dnia bowiem, w którym odszedł śp. prof. Grodyński, przybył z Kraju do Londynu gość zdawna oczekiwany i szczególnie mile widziany. Jest nim Ludwik Hieronim Morstin, który z Zakopanego przez Warszawę i Paryż, przybył wraz z małżonką do Londynu, na zaproszenie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, przede wszystkim dla zobaczenia świetnie wystawionej przez Teatr Polski w Londynie jego ostatniej sztuki „Przygoda Florencka”. Reżyser Leopold Kielanowski wznowił ją specjalnie z okazji przybycia autora i w poniedziałek 26 ub.m. odbyło się uroczyste jego powitanie.

W sali teatralnej „Ogniska Polskiego”, szczerze wypełnionej przez miłośników sceny z gen. W. Andersem z małżonką na czele, przemówił z przed kurtyną L. Kielanowski, witając L. H. Morstina, którego „Obronę Ksantypy” przygotował Kielanowski na otwarcie sezonu teatralnego w Wilnie w 1939 roku, czemu przeszkodziła wojna. Zamiar ten zdołał urzeczywistnić dopiero w wiele lat później w Londynie (na scenie zajmowanej ostatnio przez Teatr Refrena). Powitanie to było więc potrójne, za „Ksantypę...” wileńską i za „Ksantypę...” londyńską i za tę obecną „emigracyjną sztukę napisaną w Kraju”.

Po drugim akcie ze sceny, na której zebrał się cały zespół teatralny, pierwszy przemówił Zygmunt Rewkowski, wygłaszając przepojony jak zwykle sentymentem i humorem felieton na cześć Morstina rodem z Krakowa, którego triumfów był świadkiem na przedstawieniu „Lili” w teatrze krakowskim. Nowakowski namawiał Morstina do bliższego poznania wszystkich polskich skupisk dla napisania potem nowej „Przygody angielskiej” o Polakach na emigracji, głosząc prawdę o niej, bo wiele jeszcze nieprawdy pisze się o niej w Kraju.

Wiesław Wahnout osnuł swe powitanie na rozważaniach, czy jest jedna, czy dwie literatury: emigracyjna i krajowa, i na dowód ich łączności wskazał na obecne spotkanie z Morstinem i jego komedią, witając jej autora nie jako pisarza krajowego, czy emigracyjnego, lecz po prostu jako wybitnego pisarza polskiego.

Wszystkim po kolei wyraźnie wzmiankowany odpowiadał Morstin mówiąc o wielkiej popularności Nowakowskiego w Kraju, o uznaniu z jakim wyrażają się tam o wystawionej przez teatr emigracyjny „Przygodzie Florenckiej”, której inscenizację porównują do najlepszych osiągnięć teatru angielskiego, co uważa się za największą pochwałę. Między krajem i emigracją odbywa się wymiana tęsknot, przyjazd swój Morstin uważa za zadokumentowanie tej wymiany serc, która została mu umożliwiona dzięki zaproszeniu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Zebrani zgostowali miłemu gościowi i jego małżonce burzliwą długotrwałą owację, powtórzoną znowu po zakończeniu przedstawienia, które istotnie należy do szczególnych sukcesów polskiego aktorstwa poza krajem.

Wspomnieć należy o jeszcze jednym niezwykle miłym i pokrzepiającym spotkaniu, ale już na terenie ścisłej emigracyjnej. Chodzi tu o osobę prelegenta na ostatnim wieczorze odczytowym, urządzonym w Zjednoczeniu Polek. Był nim prof. Bogumił Andrzejewski, lektor uniwersytetu londyńskiego, badacz języków kuszyckich, który mówił „O życiu wśród plemion kuszyckich w Afryce Wschodniej”. Chodzi tu o plemiona zamieszkujące obszary Somali brytyjskiego i włoskiego oraz Kenii i Etiopii, której nazwa w Piśmie św. jest właśnie Kusz.

Dr B. Andrzejewski jeździł dwukrotnie do tych krajów, w latach 1950 i 1951 oraz w latach 1957—1958. Oprócz szeregu filologicznych rozpraw na temat głównie dwóch języków tego obszaru (jest ich około 40 odmian), wydał on już rodzaj podręcznika zawierającego gramatykę badanych przez siebie języków oraz teksty opowieści, które tubylcy przekazują sobie ustnie, z pokolenia na pokolenie.

Jakiego zamilowania, talentów i poświęcenia wymagają tego rodzaju studia, o tym może świadczyć tragiczny los innego badacza polskiego tych spraw, dr. Witolda Rajkowskiego, którego zgon w pustyni nastąpił z przynależnością, na skutek pomyłki w obliczeniu niezbędnego zapasu wody na wyprawę i zgubienia drogi. Śmierć ta w nagromadzeniu bieżących wydarzeń nazbyt łatwo ušla powszechnej uwadze.

Zebrań przewodniczyła prof. dr. Zofia Hołub-Pawciewiczowa, niedawno habilitowana na PUNO. Zagaiła ona wieczór przypomnieniem wielu wybitnych osiągnięć polskich podróżników-badaczy, z których imionami związane są różne nazwy miejscowości i osobliwości geograficznych. Osiągnięcia Pawła Edm. Strzeleckiego w Australii, Jana Czerskiego na Syberii, Ignacego Domeyki w Andach i innych, dorównują wyczynom Liwingstona i Stanleya, tylko że mniejszego doznały rozgłosu.

Zwiąże, ale niezwykle żywo podane i oprómięnione bystrym humorem wiadomości, prof. Andrzejewski przedstawił zebranym w formie pogadanki. Była mowa o wielkiej solidarności szczepliwej Kuszytów, o niezwyklej zamilowaniu do poezji, o wielkiej mądrości i inteligencji zwłaszcza grona starszych szczepliwych, o religijności i zwyczajach szczepliwych wyznających Islam i o wielkim humanizmie, jakim przepojona jest etyka pogańskich szczepliwych Galla. Była mowa o ich obrzędach tanecznych lub weselnych oraz zwyczajach porzebowych. Prelegent potrafił doskonale przekazać słuchaczom egzotyzm, badanych przez siebie spraw i ludzi: (n)

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

POLAND AND GERMANY — kwartalnik Ośrodka Badań Spraw Polsko-Niemieckich, nr. 4 z marca ukazał się wprawdzie z pewnym opóźnieniem, niemniej zawiera, jak zwykle, interesujący materiał. Min. Z. Berezowski pisze w artykule pt.: „Germanys Eastern Policies”. Red. A. Bregman: „German Fears of Preventive War in 1933”, w których omawia znane zagadnienie wojny prewencyjnej przedstawione wcześniej na łamach „Dziennika Polskiego”; H. Szulc: „German Refugee - Expelle Organizations” (temat niejednokrotnie omawiany w kwartalniku); T. Komarnicki: „Polish-German Relations 1918-39”. W dziale „Fakty i cyfry” przedstawiono organizację kościoła katolickiego na Ziemiach Zachodnich i dyskusję w Kongresie amerykańskim n.t. Odry i Nysy. W dziale recenzyjnym omówiono 2 książki: Hansa A. Roosa: „Polen und Europa” oraz J. A. J. Forresta: „But some there be”. Staranna szata graficzna kwartalnika wykonana została w drukarni Gryf Printers w Londynie.

## S.P. PROF. GANSINIEC

Ryszard Gansiniec, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny znawca kultury antycznej i jej zasługujący popularyzator, założyciel i wieloletni redaktor miesięcznika „Piomata”, służącego udostępnianiu młodzieży wiedzy o starożytności i ostatnio reaktywowanego po wieloletniej przerwie. Prof. Gansiniec wykladał kolejno w Warszawie, Poznaniu, Lwowie, po wojnie we Wrocławiu i Krakowie. Był również założycielem i redaktorem takich poważnych czasopism naukowych jak „Eos”, „Kwartalnik Kłasyk”, „Przełęcz”, „Kłasyk”.

J. JASNOWSKI

## Z powodu nowego wydania

# „Dziejów Polski Nowożytnej” prof. W. Konopczyńskiego

PRZED wrześniem 1939 Polska miała pięć państwowych uniwersytetów a na nich kilkanaście katedr historii ojczystej. Z grona historyków, którzy stanowili ich obsadę, jeden tylko prof. W. Konopczyński (1880—1952) zdobył się na obszerny, uniwersytecki podręcznik, obejmujący dzieje Polski nowożytnej (przedrozbiorowej). Obecnie ukazuje się w Londynie druga edycja tego dzieła.\*) zainicjowana przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie, przejęta przez ruchliwą firmę wydawniczą B. Świderski w Londynie.

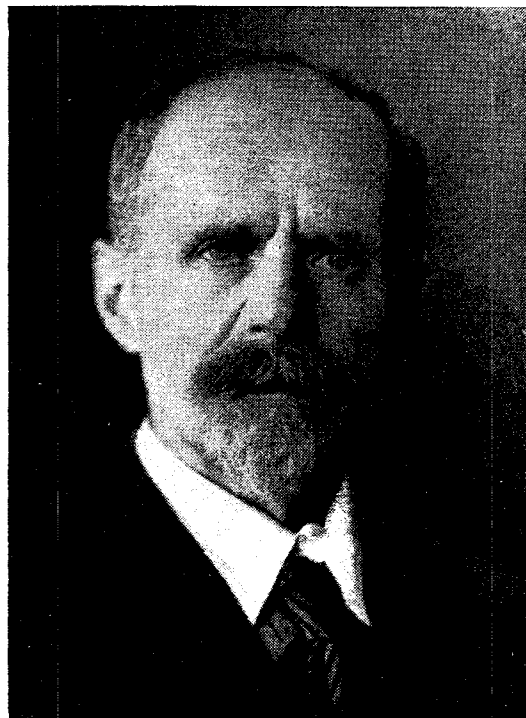
Dla tych, którzy znają przedwojenne wydanie, edycja londyńska jest miłą niespodzianką estetyczną: doskonały papier i format oraz trwała okładka czynią z „Dziejów Polski Nowożytnej” książkę miłą dla oka niż wydanie przedwojenne, treść jej nie uległa jednak najmniejszej zmianie, gdyż jest to tzw. wydanie „ofsetowe”, tj. z odbitki fotograficznej.

Jako historyk prof. Konopczyński utrwalił swoje nazwisko w dziejopisarstwie polskim rozległymi studiami nad historią Polski XVIII wieku, którego był największym i nieporównanym znawcą. Obok obszernych studiów, dziejom tego stulecia poświęconych, napisał kilka prac syntetycznych, obejmujących całokształt wybranych zagadnień, jak np. „Liberum veto” i „Kwestia bałtycka”. Prace te ukazują nam profesora Konopczyńskiego nie tylko jako historyka-erudyte, ale i jako pisarza, umiejącego przedstawić w sposób gładki, prawie że literacki, suche w swej treści wydarzenia polityczne i ustrojowe. Te zalety pisarskie ujawniły się w pełni w omawianych tu „Dziejach Polski Nowożytnej”, z wielką dla dzieła korzyścią.

Prof. Konopczyński należy do dwóch epok naszego dziejopisarstwa. Pełnia jego działalności naukowej przypada na okres Polski Odrodzonej. Studia i formowanie się światopoglądu na lata okres ten poprzedzające. W jesieni 1920 roku, którą należy uważać za początek pokojowego okresu dwudziestolecia naszej Niepodległości, prof. Konopczyński miał już 40 lat. Był więc w pełni człowiekiem dojrzałym, dysponującym nie tylko rozległą erudycją lecz i ustalonymi poglądami na najważniejsze problemy naszej przeszłości. W ocenie tych poglądów trzeba więc brać pod uwagę jego przynależność do epoki przedniepodległościowej i do nurtujących ją prądów umysłowych.

Pierwsze wydanie „Dziejów” ukazało się w roku 1936, po kilkunastu latach pracy autora na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest ono owocem własnych jego gruntownych i źródłowych badań, odnośnie wieku 18 głównie, oraz podsumowaniem tego, co nam miała do powiedzenia historiografia

\*) W. Konopczyński: Dzieje Polski Nowożytnej. Tom I. 1506—1648. B. Świderski, Londyn 1958, str. XII, 437. Cena tomu I — 35/- w oprawie i 30/- w broszurze. Tom II ukazuje się w najbliższym czasie i będzie omówiony oddzielnie.



WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

nasza, zarówno dawniejsza, jak i nowsza. Wkład tej ostatniej był stosunkowo niewielki. Na 86 tytułów dzieł, podanych przez prof. Konopczyńskiego odnośnie epoki Jagiellońskiej (1506—1572), tylko 12 pochodzi od młodszego pokolenia historyków, wychowanego w Polsce odrodzonej. Reszta to prace starej generacji, opublikowane przeważnie przed rokiem 1918 (58 tytułów) lub też po 1918 (16 tytułów). Podobną proporcję obserwujemy również w odniesieniu do epoki dwóch pierwszych Wazów.

„Dzieje Polski Nowożytnej” są więc, tak ze względu na autora jak i na dorobek naukowy, którym rozporządzał, syntezą dawniejszej historiografii sprzed roku 1918, przeszczeploną na grunt epoki niepodległościowej. Na tym jednak kończy się ich „dawność”. Ich nowość polega na wydobyciu i wypukleniu przez autora szeregu zjawisk dziejowych, niedostrzeżonych przez cawną historiografię lub też nie należycie ocenionych.

Prof. Konopczyński zaznacza, iż jego „Dzieje” są „owocem nowej szkoły krakowskiej, w której kształtowaniu największy udział miał Wacław Sobieski”. Kosćcem pańczerowym tej szkoły jest przeniesienie znacznej części odpowiedzialności za upadek Polski z jej wadliwego ustroju na fatalne sąsiedztwo. Nie broniąc niedomogów tego ustroju, prof. Sobieski wskazał na powiązanie geopolityczne Brandenburgii-Prus i Polski w XVI wieku i na fatalizm tego związku w dwóch następnych stuleciach. Jakikolwiek byłby ustrój Polski, Brandenburgia-Prusy, dopuszczone raz do egzystencji, zawsze byłoby dla niej mieczem Da-

moklesa. Chcąc uniknąć ciosu tego miecza, należało by znieść z powierzchni życia politycznego w zaraniu XVI stulecia. Nie uczyniła tego Polska i to był jej błąd polityczny a nie ustrojowy. Poglądy nowej szkoły krakowskiej znalazły pełny wyraz na kartach „Dziejów” prof. Konopczyńskiego, który je rozwinął na szerokiej podbudowie naukowej.

Mimo, iż dzieło to jest pomyślane jako podręcznik nie ma ono cech charakterystycznych dla tego typu książek, a mianowicie apodyktyczności w podawaniu faktów i ocen, nie dopuszczających innej interpretacji niż ta, którą wybrał autor. „Niniejsza książka — zaznacza prof. Konopczyński — może i powinna wywoływać spory”.

Spraw spornych jest nie mało. Poruszenie ich zajęłoby jednak zbyt wiele miejsca i odciągnęłoby uwagę czytelnika od prawdziwych walorów książki. Istotną w niej jest ilość poruszonych zagadnień. W trzech czwartych są one natury politycznej — i słusznie, bo problemy polityczne stanowią kościec każdej historii narodowej. Czy jednak kościec ten ma dostateczną powłokę dla pełnego uwytądlenia kształtu naszych dziejów? To jest pierwsze pytanie, które się nasunie światłemu czytelnikowi przy czytaniu „Dziejów Polski Nowożytnej”. Odpowiedź musi znaleźć sam.

Pytanie drugie: czy badania prowadzone od 1945 roku w Kraju posunęły tak daleko naszą znajomość dziejów politycznych, iż czynią dzieło prof. Konopczyńskiego przestarzałym (a liczy ono, od daty pierwszego wydania ponad dwadzieścia lat — wiele jak na podręcznik!)? Odpowiedź moja jest prosta: nie. Studia nad dziejami politycznymi Polski są w Kraju na cenzurowanym i nie posunęły się ani na krok od roku 1939. Książka prof. Konopczyńskiego jest dziś tak samo świeża jak była w roku pierwszego jej wydania.

Pytanie trzecie: jaki jest stosunek analogicznych syntez dziejów Polski do dzieła prof. Konopczyńskiego. Syntez tych, między wojnami, ukazało się kilka. Jedne są indywidualnym dziełem autorów (Kolankowski, Sobieski, Halecki) inne zaś tzw. pracami zbiorowymi („Historia Polityczna” Polskiej Akademii Umiejętności, „Polska jej dzieje i kultura” pod redakcją dra Lama i „Wiedza o Polsce”). Prof. Konopczyński zajmuje wśród nich miejsce pośrednie: nad dziełami indywidualnych autorów góruje rozmiarem swoich „Dziejów”, nad dziełami zbiorowymi jednolitością myśli i koncepcji, która jest dzieło przynika.

Cechuje je również ogromna niezależność myśli badawczej, podkreślona we wstępie do tomu I-go. Niezależność tę umiał zachować prof. Konopczyński w ostatnich latach swego życia po wojnie (1945—52), w ciężkich warunkach politycznych, gdy to „wiatr z wschodu” poprzeczyl na lewo nawet głowy uważane dawniej za mocne. Ta niezależność w ciężkich warunkach jest gwarancją ścisłego naukowego traktowania dziejów ojczystych, wyłożonych w „Dziejach Polski Nowożytnej”.

## WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

# DZIEJE POLSKI NOWOŻYTNEJ

### TOM PIERWSZY

Str. XII + 437 + 3 nłb., z portretem autora

Broszura: 30/- lub \$ 4.25

Oprawa reks. ze złoconiami, ochronna obwoluta: 35/- lub \$ 5.00

przesyłka: 1 9 lub 25c.

Tom drugi „Dziejów Polski nowożytnej” ukazuje się w październiku br. i będzie kosztował tę samą cenę co tom pierwszy

**KTO KUPUJĄC TOM PIERWSZY — ZAMÓWI OD RAZU TOM DRUGI KORZYSTA ZE SPECJALNEJ ZNIŻKI**

i płaci za obydwie tomy tylko:

za wydanie w broszurze: 49/- lub \$ 7.00

za wydanie w opr. reks. ze zloc., w ochronnej obwolucie: 60/- lub \$ 8.50 (bez doliczania kosztów przesyłki)

„Dzieje Polski nowożytnej” zamawiać można w każdej polskiej i obcej księgarni, podając na żądanie nasz adres wydawcy

Drogą pocztową najlepiej zamawiać bezpośrednio u nas, przesyłając jednocześnie należność:

## B. ŚWIDERSKI - 30, Buer Road, London, S.W.6

W USA należy do żądanie urzędnika pocztowego podać w pełnym brzmieniu imię i nazwisko wydawcy: Bolesław Świderski dla przekazania pieniędzy za pośrednictwem International Money Order'u

# Żołnierz — wychowawca — historyk

Wspomnienie pośmiertne o śp. pułkowniku dyplomowanym STANISŁAWIE LITYŃSKIM

Napisał Adam Sawczyński

**Z**E STARSZEGO pokolenia żołnierzy Rzeczypospolitej ubyla ostatnio postać wybitna. Śp. płk dypl. St. Lityński jako dowódca i sztabowiec na różnych szczeblach, jako wykładowca i kierownik studiów operacyjnych w najwyższej uczelni wojskowej, a w końcu jako niezłomny pracownik na niwie historii wojskowej, objął swoją działalnością o wiele szersze kręgi i odgrywał w różnych dziedzinach o wiele większą rolę, aniżeli wielu jego kolegów.

Odnosi się jednak wrażenie, że tylko ci co go bardzo blisko znali mogli należycie docenić niezwykle przymioty jego umysłu i charakteru. Zawsze pozostawał jak gdyby w cieniu swych przełożonych i kolegów. Jego wielka ambicja ujawniała się w formie najszlachetniejszej, jako ambicja czynu, zawsze w zakresie działania, który mu przypadł w udziale. Nie nosił reklamy, ostentacji, rozgłosu. Cechowała go rzadko spotykana równowaga między uzdolnieniem i ambicją z jednej, a osobistą skromnością z drugiej strony — rzecz trudna do osiągnięcia w zawodzie oficerskim w ogóle, nawet w starych armiach posiadających za sobą wielowiekową nieprzerwaną tradycję, a wręcz niezwykła w młodym korpusie oficerskim polskim, odwróconym od nowa po stułetniej przerwie.

Z tych względów tym bardziej godzi się obecnie przypomnieć i nasświetlić postać zmarłego, gdy powstała po nim niełatwa do wypełnienia pustka.

**S**YN ziemi pokuckiej młodość spędził w Stanisławowie i tam ukończył szkołę średnią, po czym rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Lwowskim. Na ówczesnej galicyjskiej prowincji, zapewne pod niejednym względem zacofanej i politycznie może nierzadko naiwnej, ale głęboko i szczerze patriotycznej, żywo wyczuwano zbliżanie się wielkich wypadków dziejowych. Nastawiano się tradycyjnie „na wojnę ludów” i nie tylko snuto marzenia o wojsku narodowym, ale prowadzono pracę wojskową, która do jego powstania miała doprowadzić. Młody Lityński ukończył już kurs podoficerski w drużynach strzeleckich.

Był następnie uczestnikiem tej wielkiej epopei żołnierstwa polskiego doby pierwszej wojny światowej, której echa coraz bardziej zdają się odległe. Zaraz na jej początku ciężko przeżywał kryzys legionu wschodniego. Wkrótce potem wcielony został do wojska austriackiego i w ten sposób w obcym mundurze, w szeregach armii zaborczej miał mu się stawać jawą dziedziczoną po ojcach „sen o szpadzie”. Podzielił więc los tych setek tysięcy czy nawet milionów Polaków, którzy przez szereg lat „na wszystkich frontach od płowej Wisły aż po Ren... swój o Polsce snił sen”. Ale nie był to dla niego czas stracony. Armia austriacka nie była wcale tak złą szkołą żołnierską, jak wielu sądzi, nad jej pułkami łatwiej było odnosić doraźne sukcesy, aniżeli je rozbić. Ostatecznie przeżyła ona swoje państwo. Służąc w 32 nowosądeckim pułku tzw. Landwehry najpierw ukończył szkołę oficerów rezerwy, a następnie zaprawiał się w wojnie na czele swych Podhalan na różnych frontach. Tam właśnie wyrabiał w sobie te cechy dowódcze, którymi się później wyróżniał między kolegami. Odważny i waleczny, a zawsze ogromnie czuły na punkcie polskości, zdobył sobie już tam mir u podwładnych i kolegów, a uznanie u przełożonych — zarówno swoich jak obcych.

Gdy wreszcie zabłysła jutrzienka swobody i polskie emblematy ozdobiły obce jeszcze nieraz mundury, od pierwszej chwili widzieliśmy Lityńskiego w służbie odrodzonej Polski, najpierw na eksponowanym posterunku w rodzinny, Stanisławowie, a wkrótce w armii regularnej w 2 pułku strzelców podhalańskich. Ze swymi góralami sanockimi uczestniczył w składzie grupy Rybaka, przemianowanej wkrótce na 21 dywizję górską, w wyprawie na Kijów i stał na zadnieprskim przyczółku pod Browarami. Po ciężkim odwrocie przez Polesie aż pod Lublin, wziął udział w rozstrzygającym uderzeniu Naczelnego Wodza znad Wieprza na tyły uchodzących spod Warszawy wojsk Tuchaczewskiego i w tryumfalnym zakończeniu kampanii. Za waleczność odznaczony

został, jako jeden z pierwszych, krzyżem Virtuti Militari.

Po wojnie kończył studia i zamierzał zrazu przejść do zawodu cywilnego, ale wkrótce doszedł do przekonania, że miejsce jego jest jednak w wojsku. Powołany do sztabu generalnego w Warszawie pracował w Oddziale I, w wydziale mobilizacyjnym, a w roku 1924 wstąpił do Wyższej Szkoły Wojennej, którą po dwóch latach ukończył, uzyskując na swym roczniku drugą lokatę.

Na krótko powrócił do Oddziału I Sztabu Głównego, ale w r. 1927 — już w stopniu majora — powołany został do WSW na wykładowcę taktyki ogólnej. Od tej chwili życie jego spłotło się ściśle z życiem, losami i pracami szkoły. Być może nie całkiem odpowiadało to jego właściwościom osobistym. Śp. płk Lityński bowiem całą swoją umysłowością, nastawieniem duchowym i temperamentem przedstawiał raczej typ oficera dowódcy. Jeśli miał wybitne wyniki w swej pracy w szkolnictwie i w sztabach, to jednak najwybitniejszym byłby jako dowódca na odpowiednim szczeblu. Dowodzenie jego przed wojną ograniczyło się w danych warunkach do krótkich, tzw. stage'ów w linii: najpierw był zastępcą dowódcy w 4 pułku strzelców podhalańskich, a następnie dowodził 85 pułkiem strzelców wileńskich w specyficznie trudnych warunkach służbowych wileńskiego inspektoratu. Przyniósł ze sobą do linii polot i świeżość szerszej myśli wojskowej i wszędzie pozostawała po nim pamięć wzorowego dowódcy, cenionego i szanowanego zarówno przez podwładnych i kolegów jak i przełożonych.

Poza tym aż do wybuchu wojny pracował więc w WSW — za trzema nawrotami — łącznie blisko 9 lat. Już w stopniach podpułkownika i pułkownika pełnił od r. 1930 funkcję kierownika II (tj. starszego) rocznika szkoły, a tym samym w jego ręku spoczęło kierownictwo całości prowadzonych w szkole studiów operacyjnych.

**Z**ACZAŁ swą pracę jeszcze pod kierownictwem późniejszego gen. Faury, którego był jednym z ulubionych uczniów. Następnie — już pod gen. Kutrzebą — przeżywał najpierw okres, w którym znaczenie i rola WSW — podobnie jak rola sztabu i sztabowców — miały być znacznie ograniczone. Chodziło wtedy raczej o produkowanie solidnych „zestawiaczy” do pomocy wyższym dowódcom, aniżeli o uprawianie wiedzy wojskowej w jej praktycznym zastosowaniu do aktualnych zagadnień obrony Państwa. Wprawdzie program ten nigdy nie został w całości zrealizowany, ale jednak był to dla WSW okres ciężki. Śp. płk Lityński nie był jednak tym, który by się łatwo czymkolwiek zniechęcał. Trudności zewnętrzne były dla niego podniętą do tym intensywniejszej pracy, prowadzonej zawsze z tą samą solidnością, a równocześnie z rozmachem i werwą. A tymczasem już zaczęła zarysowywać się fala odwrotna i stopniowo sytuacja szkoły ulegała poprawie, a w ostatnich latach przed wojną rola jej jako ośrodka myśli wojskowej wzrosła ogromnie. Co więcej WSW niezależnie od swych dotychczasowych i zasadniczych zadań zaczęła stawać się centralnym nie jako ośrodkiem wyższego wyszkolenia wojskowego biorąc coraz większy udział w szkoleniu sztabów wielkich jednostek i elementów sztabowych wyższych dowództw.

We wszystkich tych pracach WSW, coraz bardziej żywiłowo się rozrastających śp. Lityński odgrywał rolę czołową. Niewątpliwie prace te do wybuchu wojny nie zostały zakończone i nie znalazły wyrazu w formie wypracowanej i rozpracowanej doktryny obronnej państwa polskiego. Brakło na to czasu. W każdym razie śp. płk Lityński należał do tych, którzy w wyznaczonym im zakresie działalności robili wszystko co było możliwe, aby stojący do dyspozycji czas wyzyskać w całej pełni. Brak czasu na ukończenie pracy nad doktryną wojenną odczuwał śp. płk Lityński jako dziejową tragedię swego pokolenia, które zdolało Polskę odbudować, lecz któremu nie starczyło czasu do umocnienia jej na tyle, aby

mogła przetrwać swój pierwszy wielki kryzys. W danych warunkach była to dla niego również wielka tragedia osobista.

To pewne, że tyle solidnej i ofiarnej pracy w warunkach innego, nie tak fatalnie usytuowanego państwa, dałoby zgoła inne wyniki.

**T**AKŻE i na wojnę 1939 r. nie wyruszył płk Lityński jako dowódca, lecz jako szef sztabu armii „Poznań” przy boku swego przełożonego z WSW, gen. Kutrzeby. Z dzisiejszej perspektywy nie wydaje się, aby to zestawienie personalne było szczęśliwe. Gen. Kutrzeba był niewątpliwie jednym z najzdolniejszych i najbardziej wykształconych naszych generałów, miał jednak trudności w pobieraniu decyzji i potrzebował szefa sztabu, któryby pod tym względem wywierał na niego swój wpływ. Tymczasem płk Lityński pozostał wierny sobie: był szefem sztabu i w tym zakresie robił wszystko co mógł, aby sprostać niezmiernie trudnemu położeniu ze zwykłą sobie solidnością, ofiarnością, zapalem, inwencją i z pozytywnymi rezultatami. Stanowisko jego jest tym bardziej zrozumiałe, że miał on ogromną żołnierską wiarę w swego generała i być może wówczas nie dostrzegał nawet, że potrzebuje on pomocy, gdy chodzi o pobieranie decyzji w ciężkich sytuacjach, jakie się wytworzyły. Bo te rzeczy inaczej zwykle przedstawiają się z bliska i na gorąco, aniżeli później w odleglejszej perspektywie. Praktycznie sprawy te nie miały zresztą większego znaczenia, bo te czy inne decyzje nie były w stanie zmienić ostatecznego wyniku bitwy nad Bzurą, która mimo wszystko w sumie stanowi jedną z jaśniejszych kart ponurych dziejów kampanii wrześniowej, w czym — znowuż mimo wszystko — jest wiele łącznie zasługi i gen. Kutrzeby i płka Lityńskiego.

Nastąpiła długa niewola — dla tego typu człowieka czynu, jakim był płk Lityński — szczególnie uciążliwa i pełna gorczy. Pobyt w II korpusie — po jej zakończeniu — przywrócił mu jednak szybko siły i dawną energię.

**W** NOWYCH warunkach rozpoczął znowu pracę wojskową jako II zastępca 5 Kresowej Dywizji. Ale już wkrótce stawało się coraz bardziej jasne, że praca ta nie potrwa długo, a od maja 1947 r. likwidacja Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie stawała się rzeczywistością. W tych niezmiernie ciężkich czasach myśl śp. płk. Lityńskiego coraz bardziej uporczywie zawracała ku przeżytej przeszłości do czasów 20-lecia niepodległości i kampanii wrześniowej. Wierzył głęboko, że doświadczenia dziejowe mają dla narodów nie inne i nie mniejsze znaczenie, niż doświadczenia osobiste dla jednostek — mimo ogromnej różnicy w skali czasu, jeżeli chodzi o ich wykorzystanie. Uważał, że mimo olbrzymich zmian w wielu dziedzinach są w dziejach czynniki wykazujące dużą stałość, a należy do nich przede wszystkim główny podmiot rozwoju dziejowego, tj. człowiek w swych reakcjach psychicznych. Był zdania, że 20-lecie niepodległości i druga wojna światowa są tego rodzaju doświadczeniem, które właśnie w sytuacji, w jakiej znalazła się sprawa polska w dobie obecnej, może mieć dużą aktualność, że więc powinno się uczynić wszystko, aby doświadczenie to mogło być kiedyś najlepiej wykorzystane.

W rezultacie zwrócił się śp. płk Lityński ku badaniom historyczno-wojskowym. Powołany do Komisji Historycznej przy Sztabie Głównym objął wkrótce — po śmierci gen. Kutrzeby — jej kierownictwo.

Człowieka czynu, żołnierza, sztabowca i wykładowcę pociągać oczywiście musiały syntetyczna strona nauki historycznej, a więc formułowanie ocen, wniosków i nauk płynących z toku wydarzeń dziejowych. Bardzo wczesnie jednak doszedł do przekonania, że podstawowym warunkiem należytego wyzyskania przeszłości jako doświadczenia dziejowego jest ustalenie faktycznej strony dziejów. Zasada ta była szczególnie ważna w odniesieniu do naszej historii militarnej ostatnich czasów. Syntetycznych ocen w tej dziedzinie, zarówno w róż-

nym stopniu potępiających, jak i apologetycznych nie brakowało od samego początku. Szwankowała natomiast znajomość faktycznego przebiegu wypadków.

Na tym tle powstała koncepcja ograniczenia się w opracowaniu dziejów „Polskich Sił Zbrojnych” do przedstawienia na razie jedynie faktycznego przebiegu wypadków z wyłączeniem ocen i wniosków. Realizując tę koncepcję śp. płk Lityński stał jednak na stanowisku, że całokształt prac Komisji prowadzony być musi pod naczelnym hasłem docierania do prawdy z całą bezwzględnością i bezkompromisownością, tak aby ustalony stan faktyczny stanowił istotnie bezwzględnie solidną podstawę późniejszych ocen i wniosków — zupełnie bez względu na to, jak one wypadną.

Tej pracy śp. płk Lityński poświęcił ostatnie lata swego życia. Prowadził ją w ogromie ciężkich, nieraz nawet kryzysowych warunkach zewnętrznych tak personalnych jak i materialnych. Pracował niejako na dwóch szczeblach — jako kierownik i jako zwykły współpracownik. Z charakteru swego praca ta była ciężka, żmudna i przewlekła, ze względu na ułamkowy i drobniawy charakter materiałów źródłowych, a często również szarpająca nerwy i bolesna, bo przecież nieraz była czymś podobnym do rozdzierania ran ledwo zasklepionych lub nawet jeszcze się jatrzących. Chciał koniecznie doprowadzić ją do końca. Doświadczenie w toku pracy przestało być jego chorobą osłabione serce.

Cześć Jego pamięci.

## KRONIKA WOJSKOWA

**WYDAJNOŚĆ STOCZNI.** Prymat produkcji brytyjskiej i amerykańskiej stoczni należy do przeszłości. Przynajmniej dopóki stosunek kosztów robocizny i tempo pracy brytyjskich stoczni nie ulegnie zmianie na lepsze, a Ameryka nie przystąpi do modernizacji swojej obecnie zbyt dużej floty handlowej. Na czoło wysunęła się na razie zdecydowanie Japonia, która odbudowuje zniszczoną flotę i gorąco nad konkurencją międzynarodową zarówno tanioczą jak szybkością pracy swych stoczni. W roku 1957 spuszczono na wodę na całym świecie, ponad 5 milionów BRT statków. Oczywiście nie licząc wodonośców, dokonanych w Związku Radzieckim, bo produkcja ich stoczni otaczana jest najściślejszą tajemnicą. Z tej masy tonażu wyprodukowały tak zwane „wielkie stocznie”, (t.j. stocznie o produkcji przekraczającej 100.000 BRT), 3.108.000 BRT. Stoczni takich było w ubiegłym roku 21, w tym 9 japońskich, po 3 szwedzkie i zachodnio-niemieckie, 2 brytyjskie, 1 amerykańska, 1 francuska, 1 włoska, i po raz pierwszy w historii 1 polska. Japońskie stocznie, znajdujące się w Nagasaki, Kure, Kawasaki, Inosima, Aioi, Jokohama, Kobe i Tamano, nie tylko zajmują wśród nich pierwsze trzy miejsca, ale także w sumie wyprodukowały niemal tyle, ile wyprodukowały wszystkie pozostałe stocznie razem, bo 1.493.000 BRT. Stocznie szwedzkie, w Göteborgu i Malmö, wyprodukowały 460.000 BRT, stocznie niemieckie, w Kilonii, Hamburgu i Bremie, 438.000, stocznie brytyjskie, w Belfast i Newcastle, 255.000, a pozostałe cztery stocznie 460.000, w tym stocznia „dańska” 100.554 BRT. Stocznia ta spuściła na wodę 36 statków, w tym 4 po 6.660 BRT i 15 trampów po 4.180 BRT. Większa część z nich zasilą flotę sowiecką.

**LOKALNE WOJNY.** Choć nie ma na świecie konfliktu zbrojnego, uznanego oficjalnie przez Radę Bezpieczeństwa ONZ za wojnę, mniej lub więcej krwawą walki toczyły się w pięciu, a ponieważ nawet w sześciu punktach globu, mianowicie w Indonezji, Algierze, Jemenie, Libanie, cieśninie formozańskiej i także na wodach terytorialnych Argentyny. Oto w krótkości ich przebieg i stan.

**INDONEZJA.** Powstanie w centralnej Sumatrze zostało wprawdzie w pierwszych dniach maja ostatecznie i niemal bez przelewu krwi stłumione, ale za to wzrosła aktywność powstańców, panujących nad północną częścią wyspy Celebes. Pokonanie ich przez rządowe siły gen. Nasution wymaga dłuższych przygotowań, niż wymagała operacja przeciw centralnej Sumatrze. Nie tylko dlatego, że dzieli ich od Dżakarty znacznie większa odległość, ale także dlatego, że dysponują bardzo aktywnym lotnictwem, którego powstanie na Sumatrze w ogóle nie mieli. Lotnictwo to, dostarczone najprawdopodobniej z Formozy lub Filipin, daje się we znaki zarówno rządowym bazom, lotniskom i portom, jak i żegl-

WYJĄTKI Z KAZANIA KS. PRALATA MEYSZTOWICZA, PO MSZY ŚW. NA MONTE CASSINO W DNIE 18 MAJA 1958 ROKU

... Mamy się modlić dziś przede wszystkim za tych, którzy leżą na tym cmentarzu. Poszli oni we wrześniu 1939 do walki przeciwko zjednoczonym siłom hitlerowskiego neopogaństwa i bolszewickiego bezbożnictwa. Niektórzy polegli wcześniej, inni walczyli dalej. Zginęli tutaj, w najwyższym uniesieniu ofiary, broniąc świata przed przemocą wrogów: wrogów Boga i ludzi.

... Modlimy się za nich i za wszystkich poległych w dobrej sprawie. A niech Bóg nas strzeże przed małodusznością, która pozwoliłaby nam zapominać o tych, których groby są rozsypane po Rusi Sowieckiej, od Katynia po Morze Beringa. Modlimy się za wszystkich poległych w dobrej sprawie.

... Prośmy Boga, by tym wszystkim, którzy walczyli przeciw bezbożnemu komunizmowi, czy to w Polsce czy za granicą, dał pełną świadomość tego, o co walczyli: by im ogień i dym tej walki nie przesłaniał jej celu, jakim jest prymat chrześcijaństwa — by wszyscy wiedzieli, że walczyć przeciw złu — walczyć o Dobro Najwyższe — i by się czuli Chrystusa Pana żołnierzami i sługami.

... Odsuśmy winy naszym winowajcom, nie dajmy w nas wzrastać nienawiści; ale niech miłość nasza nie osłabia naszej prawdy, ni ognia w walce, ni mocy odporu.

Zanosimy prośby nasze do Boga — za pośrednictwem Jego Matki, której nie na próżno kładliśmy na głowę koronę Królowej Polski; do Pani Częstochowskiej, Ostrobramskiej, Berdyczowskiej, Kodenickiej, Litywskiej, Borsuckiej, Jazłowieckiej, Piekarskiej. Modlimy się do niej, by nie ustąpiła nasza wola do walki, by nie słabło nasze mięśnięcie, by nie blada w nas szczególnie wielka cnota nadziei; byśmy pamiętali, że zło zwyciężyć nie może, że najstraszniejsze na pozór potęgi mijają. W końcu przecie nie szatan zwycięży — lecz Bóg. Modlimy się o siłę wytrwania w walce, po stronie Bożej, przeciw szatanowi.

dze państw obcych, która wskutek tego została ograniczona — z wielkimi stratami dla gospodarki indonezyjskiej. Fakt ten oraz udane desanty powstańców na niektóre wyspy archipelagu Molukki przemawiają za tym, że wyprawa szeregów przeciw głównemu ośrodkowi powstania, Manado, będzie przyspieszana. Napływ sprzętu i taboru sowieckiego, czeskiego i chińskiego do Dżakarty niewątpliwie zwiększa jej szansę. Mimo to, gen. Nasution próbuje w drodze rokowań skłonić do uległości dowódcę powstańców, którym jest płk. Kawilarang, b. indonezyjski attaché wojskowy w Waszyngtonie.

**ALGER.** Sytuacja w Algierze skomplikowała się do reszty przez rewoltę tamtejszej ludności białej oraz generacji, z gen. Massu i Salan na czele, przeciw centralnemu rządowi w Paryżu, oraz przez nowe starcia na granicy algero-tunezyjskiej. Wypadki te osłabiły na razie działania bojowe na terenie samego Algieru, ale za to pogorszyły ponownie sytuację 20.000 żołnierzy francuskich, przebywających wciąż jeszcze w Tunisie, a de facto internowanych w koszarach i barakach.

**JEMEN.** Starcia na pograniczu jemeńsko-adeńskim, trwały niemal do połowy maja. Posiłki brytyjskie, ściągnięte z Kenii, oswobodziły fort Sanah, i wyrzuciły powstańców oraz intruzów poza linię demarkacyjną, a brytyjskie samoloty „Shackletony” i „Venomy”, zbombardowały kilka pozycji jemeńskich, po drugiej stronie linii demarkacyjnej.

**LIBAN.** Zasiłona z Syrii rewolta antyrządowa doprowadziła wprawdzie do przejściowego opowiania przez powstańców portu Tripoli, kilku dzielnic Bejrutu oraz wschodniej części kraju, została jednak przez policję i wojska rządowe stłumiona. Przyczyniły się do tego, może tylko przejściowego, opowiania sytuacji niewątpliwie dostawy sprzętu amerykańskiego, a może także ruchy flot anglosaskich. Wobec niezwrócenia się rządu libańskiego o pomoc wojskową, nie doszło do wyładowania amerykańskiej piechoty morskiej. Niemniej Waszyngton postanowił podwoić siłę jej oddziałów w basenie Morza Śródziemnego oraz skierował 31 olbrzymich samolotów transportowych „Globemaster”, do Wielkiej Brytanii. W myśl zasady „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

**CIEŚNINA FORMOZAŃSKA.** Wyspa Quemoy była 12 maja ponownie ostrzeżona przez artylerię komunistyczną z kontynentu. Padło 78 pocisków.

**ARGENTYNA.** Argentynskie okręty wojenne, znajdujące się w ćwiczeniach w zatoce Nuevo, o 1.000 mil na południe Buenos Aires, najprawdopodobniej zatopiły lub uszkodziły minami głębinowymi sowiecki okręt podwodny, nurkujący wśród nich, wewnątrz argentyńskich wód terytorialnych. Być może, że podobny los spotkał drugiego nurkowca. Kage.



DE GAULLE U WŁADZY

(Dokończenie ze str. 1)

bować wyjaśnić stanowisko de Gaulle'a w interesujących Amerykę i Niemcy sprawach, stosując od razu metody pogroźek finansowych. Jest to błąd psychologiczny i taktyczny. Są ludzkie charaktery, mające właściwości pirotekcyjne — wybuchają w kierunku największego oporu. Do takich ludzi należy de Gaulle. Główne państwa Sojuszu Atlantyckiego przyczyniły się do zawrotu tego sokoła o wiele więcej, nawiązując rozmowy z nowym rządem Francji teraz, gdy wszelkie poparcie z zewnątrz jest dla tego rządu szczególnie cenne. Władcy Kremla postępują inaczej: Woroszyłow

oświadczył, że akceptuje powrót de Gaulle'a do władzy, jeśli to prowadzić ma do dobra Francji, a prasa sowiecka, przedrukując głosy francuskiej prasy komunistycznej, wykresłała ustępy, obrażające de Gaulle'a osobiście.

De Gaulle'a uważają niektórzy za zagadkowego. Pod jednym względem nie ma w nim żadnej zagadkowości. Będzie dążył do wzmocnienia roli Francji w Europie i w obszarze zachodnim. Z naszego punktu widzenia życzymy mu w tym sukcesu, bo rola Niemiec Zachodnich wyrosła ostatnio nadmiernie. S. K.

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Sensacje polityczne ostatnich tygodni — Francja, Alger i Liban — tak zaprzętny uwagę dziennikarzy, że puscili mimo uszu wiadomości, które na dłuższą metę mogą okazać ważniejsze dla przyszłych losów świata. 21 maja sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych Neill H. McElroy referował jednej z komisji kongresowych stan wykonania projektu budowy sieci baterii rakiet intercepcyjnych. Mają one być uzbrojone w rakiety „Nike-Zeus”. Ich zadaniem jest zestrzelanie „intercepcyj”, nadlatujących pocisków międzykontynentalnych lub innych. Wykonanie planu ulega zwłoczce. Jest to rzecz tak naturalna że nikt nie zadał sobie trudu komentowania przyczyn zwłoki. Zapewne tak jak zawsze, tak i w tym wypadku: przeciążenie produkcji, konieczność udoskonalenia i niedostatek kredytów.

laby im ani wysoka temperatura ani owro tarcie, nieprzyjemne dla rakiet. Czyżby zatem „spatniki” tylko udawały, że są niewinnym i pokojowym zadoścuczynieniem naukowych ambicji?

Nie należy dmuchać w zupę

Nie mogłem jeszcze zdobyć nowego podrecznika dobrego tonu wydanego przez Socjaldemokratów na użytek biurokratów i arystokratów komunistycznych. Wiemy już, że w Moskwie i w Leningradzie został rozkułony natchemiasm po ukazaniu się. Jest to podrecznik rewolucyjny. Warto się zastanowić, czy jego „rewolucyjność” jest krokiem wprzód czy krokiem w tył. Najpewniej należy do kategorii zjawisk typowych dla „opierzonej rewolucji”, rewolucji zasobnej, podstarzonej, nabrzmiałej od konwensansów i przepojonej szacunkiem dla pluszowej kapap — ideału kulturalnego każdej biurokracji.

Bezpośrednio po zakończeniu wojny zachód mógł się zapoznać z próbkami sowieckiego „savoir vivre” w czasie krótkiej sielanki na terenie pobitych Niemiec. Ze zdumieniem przyglądali się lekarze, oficerowie i urzędnicy angielscy, amerykańscy a także i polscy, obrządkowi amerykańskiemu i także i polskiemu, którym zgrupowaniem przy jednym stole biesiadnicy plei obojga przycezywali sobie włosy. W ślad za grzebieniem wędrowała serwetka o pokazanych kształtach, która jedni po drugich, według starszeństwa, biesiadnicy scierali sobie „tłustość z usciech”, jakby powiedział nieboszczyk Rey z Nagłowic. Później sielanka się skończyła i sowiecki „bon ton” obserwowano można było tylko na przyjęciach dyplomatycznych, ogólnie na szczęście niedostępnych.

Obecnie wydany podrecznik sowiecki zajmuje się wszystkimi bodaj aspektami „kulturalnej i haroszoj żyźni”. Dowiadujemy się, że nie należy „prosić siadać” gościa na łóżku, zwłaszcza nie posłanym. Nie należy też dmuchać w zupę, gdy jest zbyt gorąca, gdyż opryskuje to sąsiadów. Wystarczy zamieszkać zupę łyżką. Wylawszy zaś herbatę na spodek dla ochłodzenia, gdy nie ma łyżeczki pod ręką, także nie należy dmuchać, lecz wachlować płyn czapką. Oczywiście ostatni przepis jest wymyślony przez rozweselonych lekturę recenzentów angielskich.

Przepisy „dobrego tonu” podobnie jak „działa o astrologii” są zawsze i wszędzie tematem żartów i kpin. Niemniej są nie-

Tarcza obronna

Otoż nie tylko te przyczyny były przedmiotem przemówienia McElroya. Znalazło się w nim bowiem kilka bardzo ostrożnych szczegółów, oczywiście bez zdradzenia nazwisk, o pracach uczonych nad stworzeniem naprawdę skutecznego sposobu obrony przed niebezpieczeństwem sowieckiego ataku jądrowego.

Sposobem tym byłoby stworzenie olbrzymiej tarczy — zapory przez którą nie mógłby się przedostać żaden przedmiot. Jej działaniem opierać by się mogło na bliżej nieokreślonych „impulsach”, które stwarzałyby tak silne tarcie w atmosferze, że nadlatująca rakietka uległaby spaleniom. Inną koncepcją jest wytworzenie pasa olbrzymiej temperatury cieplnej.

Przed dwudziestu laty marzyli o czymś podobnym uczeni niemieccy, jeszcze wcześniej fantazyowali na ten temat pisarze. Pamiętam jakąś nowelę, bodaj że w „Naokoło Świata”, w której tego rodzaju „zapora elektryczna” spełniała kolosalną rolę w czasie „wojny przyszłości”. Jej wybuch zapoiniany przeze mnie autor wyznaczał na rok... 1948. Wniosek z tego, że pomysł jest prosty — oczywiście prawie. Tylko to jedno małe pytanie: jak to zrobić? Dziś, jak widzimy, odpowiedź na owe podstawowe „jak” nie jest wcale odległa.

Niestety, McElroy wspominał też o jeszcze jednej „fantazji”, niemniej popularnej wśród pisarzy, mianowicie o „promieniach śmierci”. Także i ta fantazja jest bliska urzeczywistnienia. Promienie takie (oczywiście nie wiemy jakie!) mogłyby razieć ziemię z wysokości 500 mil i nie przeskadza-

F I L M

TAMA (The Sea Wall) to egzotyczny film w technicolorze i w międzynarodowej obsadzie, produkcji Dino di Laurentis, na podstawie powieści francuskiej autorki Marguerite Duras.

Niecodzienna, pasjonująca opowieść o francuskiej rodzinie pionierów w Indiach. Postacia kluczowa jest matka, która odwoławszy postanowiła pozostać w tropikalnym kraju i sama zarządza ubogą raczej plantacją. Aby uchronić swe pola ryżowe od zalewów, buduje ona ogromnym wysiłkiem prymitywną tamę z drzewa i wikliny, która stanowi kruchy element bezpieczeństwa i dobrobytu dla całej okolicy. Pani Dufresne jest osobą silnego charakteru, gwałtowną, apodyktyczną, trochę szalona. Najbardziej cierpi na tym jej dwie dorastające dzieci, zbuntowane, półdzikich i — o dziwo — bardzo do siebie przywiązanych (dla amatorów nowoczesnego tańca wtrącam, że tworzą oni na parkiecie parę wprost niezrównaną). Józef Dufresne namawia matkę, by sprzedała wiecznie zagrożoną posiadłość i prymitywne bungalowy; marzy o przeniesieniu się do miasta i życiu ludzi cywilizowanych, o czym ona nawet słyszeć nie chce. Tymczasem gnane tajfunem fale Pacyfiku — a raczej Morza Chińskiego — przerywają starą tamę zalewając pola i powodując exodus tubylej ludności. Dufresnowie stają na przeciw ruiny. Doprowadzony do rozpacz despotyzmem matki Józef ucieka do Bangkoku, by tam szukać złudnego szczęścia. Pani Dufresne udaje się tam z koleją z córką, w poszukiwaniu pieniędzy na odbudowę tamy. Nie znalazłszy ich, złamana nie tylko zniszczeniem dzieła swego życia, ale buntem własnych dzieci, wraca na plantację, by umrzeć w na pół zrujnowanym domu. Józef pojeździł przez matkę i odbuduje, tym razem betonową, tamę.

Niezależnie od fabuły, film jest koncertem gry aktorskiej. Poza świetną, choć brutalną kreacją Jo van Fleet w roli matki, wykonawcy ról dwojga młodych ludzi od początku zapewniają sobie całą naszą sympatię. Silvana Mangano (Susanne Dufresne) tworzy fascynującą postać dziewczyny szlachetnej, namiętej, a zarazem niesmiałej, przede wszystkim jednak przedziwnie pięknej jakąś klasyczną rzymską pięknoscia (jakże zmieniła się od czasów swego, świetnego zreszta, debiutu w „Gorkim ryżu”). Anthony Perkins w roli jej brata objawia nam się definitywnie jako najlepszy dziś z młodych aktorów Ameryki. Gra jego urzeka siłą wewnętrznego napięcia, bogactwem przemian a także wdziękiem niespokojnej młodości. Można wrożyć temu artyście wielką przyszłość; można też mieć nadzieję, że jego inteligencja i kultura oszczędzą mu licznych, a nieznośnych hollywoodzkich manier. W pozostałych rolach: zawsze interesująca i uwodzicielska Alida Valli — światowa kochanka Józefa w ciągu jego kilkudniowej eskapady ku „cywilizacji”, oraz Richard Conte — wykołejony oficer marynarki, który na próżno usiłuje wyperswadować Susanne ich wzajemną miłość. Annamicki aktor (nazwiska, niestety, zapomniałem) grający jedynego, starego i głuchego „boya” Dufresnego, zasługuje — moim zdaniem — na „Oscar” za najlepszą rolę drugoplanową, jaką mogliśmy oglądać w ubiegłym roku.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje też francuski reżyser René Clement, który nie tak dawno pokazał już całą swą klasę w „Gervaise”, według słynnej powieści Zoli. Tym razem dał on film zupełnie inny, trzymający w napięciu mimo pewnej melodramatyczności i wyraźnych błędów scenariusza (czy raczej — jak podejrzewam — maszyny niewłaściwych skrótów, przy pomocy których psuje się w Anglii co drugi film po to, by w ciągu tych samych 3 godzin

zmieścić jeszcze jakąś 3-rzędą szmire). Clement potrafił przede wszystkim w pełni wykorzystać bójną egzotykę pld-wschodniej Azji. Nie tylko plenery i sceny obyczajowe (jak np. pogrzeb pani Dufresne, lub obrazy życia na rezece Me-Nam wśród przebogatej roślinności) ale także całą kolekcję typów ludzkich, tubyleczy i kolonialno - europejskich oraz jedną w swoim rodzaju duszną, a zarazem podniecającą atmosferę. Dlatego może „Tama” wywołuje w naszej pamięci wizję „Rzeki”, nakręconego przed kilku laty w Indiach arcydzieła Renoir'a. Jest ona jednak obrazem mniej wyrafinowanym, łatwiejszym dla przeciętnego widza, a przy tym naprawdę nie podobnym do żadnego innego filmu.

Jako drugi film w tym samym programie pokazano nam produkt sowiecki nazwany po angielsku BLAZING A TRAIL TO THE STARS, czyli jak sobie mały Waniaszka wyobraża problemy międzyplanetarne. Sprawę komplikuje przy tym fakt, że film jest przeznaczony dla dorosłych, a w dodatku wyraźnie dla zagranicy. Najładniejsze są kolory: pastelowe, jak w „Czterdziestym pierwszym”. Dopóki pokazują nam Rosję przedrewolucyjną i owego „Popowa”, który wydumał i możliwość wyskoczenia poza sferę przyciągania ziemi i rakiety wielostopniową i szereg precyzyjnych tylko przez Juliusza Verne wynalazków — potrafimy zachować powagę (bądź co bądź, pierwszy wypuścili sputnika!). Kiedy jednak dochodzi do momentu odjazdu w przestrzeń międzyplanetarną trzech sowieckich młocjów w skórzanych kurtkach i sztyłkach, którzy, rzecz jasna, wracają sobie potem spokojnie przez nieprzychylną innym nacjom stratosferę — reagujemy trochę tak, jakby nas ktoś lachotał. A już na widok stacji międzyplanetarnej na pół drogi do księżycy, z damską przeważnie obsługą, a apartamentami jak w Dorchesterze, z wiszącymi ogrodami i telewizją, w której właśnie nadają z Moskwy „Jeziorko łabędzie” — sala śmieje się na całego. Nie dlatego, żeby film był pozbawiony pomysłowości i nawet chwilami napięcia; albo żebyśmy uważali pokazane w nim wyczyny za niemożliwe do zrealizowania w niedalekiej może przyszłości. Rozwesela nas właśnie bogactwo szczegółów, które na tle tego, co wiemy o poziomie życia w „ojczyźnie proletariatu” mają jakąś własną tragicomiczną wymowę. Maciej Cybulski

MUZYKA

Małcużyński w Żelazowej Woli i w Londynie

Piękne to musiały być chwile w czasie niedawnego pobytu Witolda Małcużyńskiego w Polsce, gdy dawał on swój pierwszy recital — w Żelazowej Woli w domu, w którym przyszedł na świat Fryderyk Chopin; następnie zaś kiedy przy udziale tysięcy słuchaczy składał hold sercu wielkiego kompozytora, spoczywającemu w kościele św. Krzyża w Warszawie.

W ramach swego tournée po Polsce, Małcużyński grał następnie Koncert F-mol Chopina w Katowicach. W Warszawie natomiast, witany z radością przez dawnych przyjaciół, kolegów muzyków, prasę i tłum młodzieży, wykonał z towarzyszeniem orkiestry Filharmonii Narodowej pod batutą Bohdana Wadzićko — Koncert D-mol Rachmaninowa. W tym samym programie wykonano po raz pierwszy symfonię „Hungaria” (z r. 1956) Artura Malawskiego.

Entuzjastycznie witalo też polskiego wirtuoza z Zachodu miasto Kraków, a także Poznań, gdzie krzesła dla słuchaczy musiano ustawić nawet na samej estradzie. Ostatnie pożegnalne recitale dał Małcużyński w rodzinnej Warszawie, w pałacu Ostrogskich.

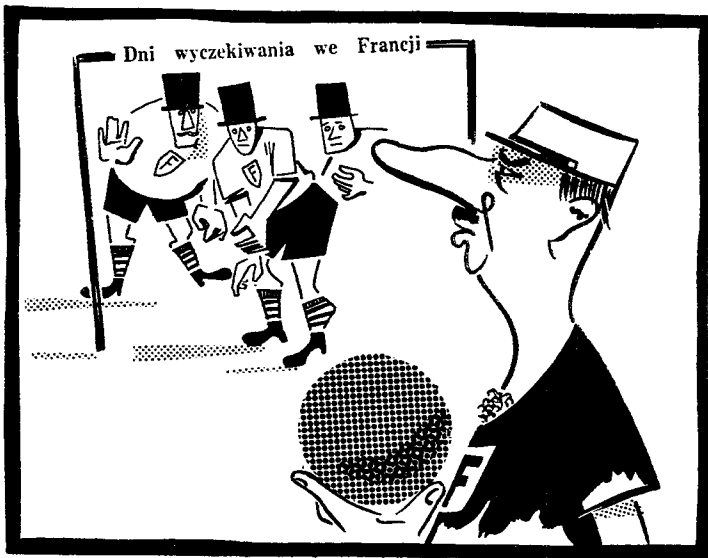
Honoraria uzyskane ze swych krajowych koncertów przekazał Małcużyński na cele społeczne: 30 tysięcy złotych na Związek Kompozytorów Polskich oraz Stow. Polskich Artystów — dla chorych i starych muzyków i kompozytorów; 15 tys. zł. na budowę pomnika Bohaterów Warszawy i 15 tys. zł. na Fundusz Pomocy Repatriantów z Rosji Sowieckiej.

Nie wszyscy zapewne Czytelnicy tej rubryki wiedzą, że niedawno wyszła w Genewie w serii „Les Grands Interpretes”, książka o Witoldzie Małcużyńskim. Autorem tego studium jest Bernard Gavoty, krytyk muzyczny wielkiego paryskiego dziennika „Le Figaro”.

Uwagi i pełne temperamento komentarza autora, przytaczane przezeń rozmowy z Małcużyńskim o muzyce, wprowadzenie w atmosferę domu rodzinnego artysty oraz żywy język jakim napisana jest książka — czynią z niej niezwykle interesującą lekturę. Doskonale są też fotografiami wirtuoza z lat dziecińczych i okresu studiów w konserwatorium warszawskim. Książkę, wydaną nakł. René Kistera, przetłumaczył na angielski F. E. Richardson.

Po powrocie z Polski Małcużyński daje recital fortepianowy w Royal Festival Hall'u w Londynie, organizowany przez W. v. Wycka. Program nieomal ten sam co w Warszawie, gra — jak zwykle, pełną własnego wyrazu i poezji.

Jak wiadomo, talent Małcużyńskiego kształtowało przede wszystkim środowisko warszawskie, głęboka kultura domu rodzinnego i kierownictwo artystyczne



bywale popularne i rozchodzą się w milionowych nakładach. Nie ma przyczyny, by sowieckie dzieło „kulturologiczne” było w tym względzie wyjątkiem. Rzecz ciekawą naprawdę — i istotną — nie jest sam fakt jego wydania. Ani też poszczególne jego przepisy, choć stanowią ciosum dla nas, nie są w gruncie rzeczy czymś absolutnie dziwnym. „Co kraj to obyczaj”. Picie herbaty na „prydmuku” nie jest najtragiczniejszym z sowieckich obyczajów! Natomiast rzecz naprawdę zdumiewająca jest przebijająca ze stron podrecznika tęsknota do purytańskiej, „wiktoriańskiej”, „porządności” obycia, do formalizmu i konwensansu, nie pozwalającego na żadne odchylenia i nie rozumiejącego, że naprawdę dobre obyczaje polegają na swobodzie zachowania. Swoboda tworzy obyczaj tak jak tworzy kulturę. Przepis każdy, a więc i towarzyski, tworzy nudę uszytwnioną szobizmem.

Dziewiętnastowieczność kulturalna

Obyczaje „dziewiętnastowieczne” wydają się smieszne w wieku dwudziestym. To samo dotyczy wszelkich w ogóle przejawów życia kulturalnego. W programach Teatru Moskiewskiego goszczącego obecnie na występach w Londynie, przecząca można nazwiska aktorów ustawione w hierarchii ich „czynowniczego” dostojenstwa. Naprzód opatrzeni tytułem „Ludowych Aktorów ZSRR”, po nich „Ludowi Aktorzy RSFR”. Za nimi „Aktor Lotewskiej SRR”. Po „Ludowych” — „Czcigodni Aktorzy ZSRR”. „Czcigodni Aktorzy” poszczególnych „Republik Rad”, wreszcie zwykli „Aktorzy”. Tego rodzaju konwensans hierarchiczny to nie dziewiętnasty, lecz siedemnasty wiek! Jest śmieszny i uwłaczający ludzkiej godności. Przynajmniej w naszym pojęciu. Nie pomniejsza wartości gry aktorów wszystkich kategorii i stopni służbowych, gdyż mówić o niej trudno inaczej, niż w superlatywach, tak samo jak o reżyserii i dekoracjach, zabójczo realistycznych w każdym szczegółu. Wystawienie „Wiśniowego Sadu” może być chlubą starej rosyjskiej szkoły teatralnej.

W „określeniu stara szkoła” leży sedno sprawy. Przedstawienie nie jest „period piece”, by użyć określenia angielskiego — „starość” — nie plynie z pietyzmu, lecz z ortodoksji. Wygląda jak ożywiony taracie eksponatów muzealnych. Jest czymś, co już od dawna nie istnieje, chyba jako wartość historyczna, jest teatrem, który przestał odpowiadać potrzebom i reakcją żywych ludzi. Takie jest wrażenie widza zachodniego. Plynie z niego nauka o wiele głębsza niż wnioski jakie dać może analiza przeciwnością treści sztuki Czechowa pod kątem uczynienia z niej instrumentu propagandowego. Przeciwność to bowiem, chociaż technicznie arcysubtelne, jest w gruncie tak oczywiste... że staje się kalkowie chybione i nieskuteczne.

Gol i de Gaulle

„Nettoyage” stanie się zapewne hasłem naprawy Republiki Francuskiej, która będzie opatrzona kolejnym numerem „V”. Dłoby się to przetłumaczyć jako oczyszczenie, wymięcenie, lub inaczej generalne porządki. Ponieważ przewrót rozpoczął się w bardzo właściwym dla przewrotów miesiącu, tj. w maju — można by porządky określić jako wiosenne — w starym, zaśmieconym, lecz przecież ciągle bardzo pięknym domu, który nazywamy Francją.

Nie tylko wysoki wzrost generała de Gaulle, lecz także paradoksalność sytuacji, która poprzedziła jego powrót do władzy, jest prawdziwym używaniem dla satyryków i karykaturzystów. Cenzura francuska, bardzo zreszta — trzeba przyznać — kurtuazyjna, przykneła oko na płody ołówka ryśowników, traktując je z pobłażaniem, którego pozazdrościć może pióro komentatorów i zwykłych reporterów. Karykatura bowiem przy pozorze złośliwości mniej może przynieść szkody, niż popis piarski. Jest bardziej konstruktywna. Osladza złośliwość silnym ładunkiem humoru. Gdy zaś człowiek zmartwiony się usmiechnie — zmartwienie przestaje go dręczyć i może się zabrać do roboty.

Po polsku gra słów związana z nazwiskiem de Gaulle nasuwa, rzecz jasna, porównanie z boiskiem piłkarskim. „Strzelił gola” — nie wyparło jeszcze w gwarze sportowej poprawniejszego: strzelił bramkę. Paradoks sytuacji francuskiej polegał na tym, że de Gaulle w centrum napadu nie musiał wcale „strzelać bramki”. Wystarczyło, że stanął przed nią z piłką i czekał spokojnie aż przeciwnicy sami potulnie i z pospiechem przeniosą bramkę na jego wysokość i poproszą, by zechciał ich pokonać.

Fredro o Algerze

„Lubo Francuzi zawsze najlepiej wszystko wiedzą — teraz nawet w Algierii Arabów ucza po arabsku — ja prawdy twierdzeniu szanowanego generała przyznać nie mogę”, pisał Aleksander hr. Fredro lat temu sto trzydzieści w swoich wspomnieniach, rozkosznie nazwanych „Trzy po trzy”. Chodziło o bliżej nieznanego generała francuskiego, którego denerwował fakt, że ulani „lansjerzy”, polscy znacznie lepszymi byli żołnierzami niż lansjerzy francuscy. W tłumaczeniu znalazł ów generał w zdaniu, które przytacza Fredro: „Nie ma się co dziwić, że Polacy są dobrymi lansjerami, bo Polak jeszcze dzieckiem już z lancą w ręku było pasie”.

Na co Fredro, stary weteran, odpowiada: „Každy nowy kawalerzysta wzbudza śmiech starego żołnierza, a cóż dopiero Francuz prosto od Comptoiru, kawiarni, albo od perukarskiego warsztatu na francuskiego konia wadzony”.

Zwazić sądo ukryte w słowach „...na francuskiego konia...”. Aktualność wymiany zdań o lansjerach jest już dziś niewielka. Inaczej zdanie wtrącone o owych „Arabach, co ich Francuzi w Algierii ucza po arabsku”. Logika w życiu jest odwróceniem paradoksu — paradoks jednak ułatwia życie w większym niż logika stopniu. Francuzi nie nauczyli „Arabów w Algierii mówić po arabsku” — wydaje się jednak, że Algieria nauczyła Francuzów myśleć po francusku. J. P. H.

Swój do swego POPIERAJĄC FIRMY POLSKIE. WZMACNIAMY SIĘ NAWZAJEM.

MATERIAŁY. LEKARSTWA, ŻYWNOSĆ najszybciej, najkorzystniej, najlepiej wyslesz przez P. C. STORES S. BREWKA 18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7. Tel. KNI 0747

S. Niekraszowa



# Z życia Kombatantów

DODATEK ZARZĄDU GŁÓWNEGO S. P. K.

## KOMBATANCKIE SEJMIKI

WIOSNA jest okresem, w którym po większej części odbywają się walne zjazdy organizacyjne SPK w różnych krajach. Zjazdy te są nie tylko dopełnieniem formalności przewidzianych statutem. Celem ich jest zrobienie bilansu osiągnięć, omówienie wyników działalności i wytyczenie planu pracy na przyszłość.

Na tle wydarzeń w Kraju w okresie ostatnich kilkunastu miesięcy, wydarzeń, które znalazły tak szeroki i nie zawsze jednolity odzwiek wśród wychodźstwa polskiego w świecie, jest o czym mówić, jest się nad czym zastanowić. Toteż obrady braci kombatantckiej nacechowane są szczególną troską, jaką każdego musi napawać ciężka sytuacja materialna w Kraju i panująca niepewność jutra. Wyniki obrad, utrzymywanych z reguły na wysokim poziomie, potwierdzają wolę b. żołnierzy kontynuowania walki o realizację prawdziwej niepodległości dla narodu polskiego. Pamiętając o tym, że przodkowie nasi w znacznie trudniejszych niż my warunkach, przez ponad 100 lat nie ustawali w walce o osiągnięcie ideału wolności i niepodległości, kombatanci polscy przestrzegają przed obojętnością przy byle okazji i nawołują do stałej a nie koniunkturalnej gotowości, do takiego rozsądku w działaniu, któryby się nie zamieniał w rezygnację.

Wiceprezes Zarządu Głównego SPK kol. Stanisław Lis pozdrowiając w imieniu władz głównych Stowarzyszenia tegoroczny Zjazd Oddziału Francja powiedział m. i.:

„Wiemy, że w Kraju nie ma wolności, istnieją jedynie pozory swobód obywatelskich. Polska jest politycznie

i militarnie w kleszczach sowieckich. Krok za krokiem likwidowane są zdobycze tzw. października we wszystkich dziedzinach życia. Byłoby niebezpiecznym złudzeniem przypuszczać, że Gomułka, w którym chciano widzieć męża opatrnościowego Polaki, zmierza szczerze do uniezależnienia się i oderwania od Rosji. Jest on takim samym komunistą i dyktatorem z łaski Kremła jak inni. Kadar na Węgrzech czy Dej w Rumunii. Jest pionkiem, który musi robić to co mu każą władcy sowieccy, inaczej by go nie było. Dlatego jest obojętne czy był Bierut czy jest Gomułka — źródłem zła jest imperializm sowiecki, który dzięki niezrozumiałemu zastępieniu Zachodu czyni stałe postępy na drodze prowadzącej do podboju w różnych częściach świata”.

„Do niedawna jeszcze wielu ludzi na emigracji ulegało narkozie propagandy komunistycznej. Byli wątpliwość i nie oparte na naszym nadzieje. Doradzano nam, abymy się wyrzekli wszelkiej niezależnej akcji politycznej i jak się to mówiło włączyli w nurt życia Kraju. Byli ludzie na emigracji, którzy żyli złudzeniami jeszcze wtedy, gdy naród w Kraju złudzeń tych już nie miał. Byli ugodowcy, którzy tłumaczyli nam, że Kraj idzie do wolności, jeszcze wtedy, gdy już rozpoczął się proces akuracji odwrótny. Liczba tych oportunistów na szczęście maleje... Ponadto wielu zrozumiało, że nie rozumie”.

Popchnilibyśmy grzech śmiertelny wobec Kraju, gdybyśmy dotychczasowe pozorne zmiany uznali za powód do rezygnacji z naszej roli i łatwego

zrzucenia z siebie nie było jakiejś odpowiedzialności. Ofensywa reżymowa na emigrację ani się nie zakończyła ani zalamana, prowadzona jest ona przy użyciu coraz to nowych środków oddziaływania, które będą tym skuteczniejsze im bardziej w szeregach emigracyjnych elementy emocji i sentymentu będą górować nad rozsądkiem w działaniu”.

Następnie kol. Lis wyupuklił przodującą rolę SPK w świecie, podkreślając słuszność zajętego przez tę organizację stanowiska w okresie największego nasilenia propagandy tzw. odwilży, kiedy to społeczność kombatantcka w całym świecie zajęła zdecydowaną postawę nie tylko zalecając ostrożność w oddawaniu się tym nastrojom, lecz wyraźnie przestrzegając przed niebezpieczeństwem i szkliwością wyciągania pochopnych wniosków. Rzeczywistość dzisiejsza potwierdza całkowicie prawidłowość naszego rozumowania.

„Nie jesteśmy stadem weteranów, którzy mają oczy z tyłu i którzy ograniczają się do wspomnień jak to było 20 lat temu. Ruch kombatantcki jest żywą i ciągle dynamiczną siłą społeczno-polityczną. Jeżeli dojdzie do wniosku, że powinniśmy działalność naszą rozszerzyć czy przestawić to nie wolno nam się cofnąć przed taką decyzją. Żyjemy w epoce przemowowej, która przesądzi o przyszłych losach ludzkości na wiele lat, może na stulecia. W takiej chwili nie możemy ograniczać się do półśrodków czy spikacji i łatwych kompromisów, które niezadko bywają gorsze od przeciwnych”.

## Lecznictwo dla polskich kombatantów w Kanadzie

Długoletnie, energiczne staranie władz SPK w Kanadzie o zrównanie b. żołnierzy polskich z ostatniej wojny w pracach z weteranami kanadyjskimi zostały częściowo uwieńczone powodzeniem.

Na wniosek Ministra Spaw Weteranów z dnia 29 stycznia br. Generalny Gubernator Kanady wydał w dniu 18 marca br. rozporządzenie, które wprowadziło korzystne dla b. żołnierzy polskich zmiany w przepisach, zawartych w Veterans Treatment Regulations. W ten sposób rząd kanadyjski spełnił jeden z dezyderatów, przedstawionych w memoriale, które delegacja Stowarzyszenia Polskich Kombatantów złożyła Ministrowi Spaw Weteranów w Ottawie, w dniu 13 stycznia br.

Na podstawie ustępu b (i) sekcji 13 Veterans Treatment Regulations w nowym brzmieniu b. żołnierze aliancy mogą korzystać w zakresie leczenia z finansowej pomocy Rządu Federalnego w tej samej mierze, w jakiej powołane przepisy przyznają ją weteranom kanadyjskim.

Wymogi ustawowe, uprawniające do tej pomocy, są następujące:

1. służba w pierwszej lub drugiej wojnie światowej w siłach zbrojnych państwa, które było sprzymierzone lub stowarzyszone z Wielką Brytanią w walce z Niemcami i ich sprzymierzeńcami;
2. zwolnienie z wojska, które nie było wynikiem postępowania karnego lub dyscyplinarnego (honorable discharge);
3. stały pobyt w Kanadzie przez co najmniej 10 lat;
4. dochód roczny nie przekraczający określonej kwoty.

### OFICJALNY STRÓJ SPK W KANADZIE

Władze SPK w Kanadzie wprowadziły oficjalny strój, który obowiązuje naszych kolegów przy wystąpieniach oficjalnych. Składa się on z granatowej marynarki (blezer), na której widnieje wyraźny znak SPK, popielate spodnie i czarny beret, czarny długi krawat i czarna obuwie. Po lewej stronie beretu powinien być wpięty metalowy znaczek SPK.

Podając tę wiadomość, oczekujemy od Kolegów z innych Oddziałów wypowiedzi na temat wprowadzenia stroju oficjalnego SPK w całym świecie.

Jak zaznaczyliśmy wprowadzenie do Veterans Treatment Regulations omówionych powyżej zmian było spełnieniem jednego z dezyderatów, które Stowarzyszenie Polskich Kombatantów przedłożyło władzom kanadyjskim. Zakres tych dezyderatów jest szerszy. Dotyczą one wielu innych bardzo poważnych uprawnień, które służą weteranom kanadyjskim. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów zamierza nadal w miarę możliwości dezyderaty swoje popierać.

### KOMBATANCI POLSCY W AUSTRALII

Dowodem dobrych stosunków o zarazem uznania dla polskich kombatantów w Australii było otrzymanie w tym roku po raz pierwszy zaproszenia na tzw. Anzac Day. Zaproszenie to otrzymało Koło SPK nr. 5 w Canberry. Jeszcze przed 3 laty podobne starania ze strony Polaków były z reguły odrzucane przez władze australijskich kombatantów. W tym jednak roku kombatanci polscy i australijscy wzięli po raz pierwszy wspólny udział w defiladzie, którą odbyła władza kombatantcka.

Koło SPK w Canberry reprezentowało 70 polskich kombatantów, którzy maszerowali za lotnikami i marynarzami australijskimi. Grupę polską prowadził T. Saryusz-Bielski. Hotelu Ainslie-Rex, gdzie wspomniany Po defiladzie spotkali się wszyscy w dawne boje. Polacy odśpiewali wiązanki polskich piosenek żołnierskich. (F. H.)

### POSZUKIWANIA

Grabiński Jan Witold, kapitan, ur. 23. 3. 1908, poszukiwany przez rodzinę w USA. Wiadomość na adres: Irena Hoffman, 408, Park Ave, Utica, N.Y., USA.

Pietrkiewicz Antoni, b. lotnik, mechanik, poszukiwany przez: Kravery Janiewicz, poczta Brzeg n Odrą, wieś Brzezina, woj. Opole.

Ochoński Bolesław i Gawriotek Antoni poszukiwani przez: Stefan Myśliwiec, Gdynia 4, ul. Ziwirowa II 2.

Bohosiewicz Bogdan, ur. w 1910, por. rez. 8 p. ul., poszukiwany przez matkę: Janina Bohosiewicz, Zakopane, ul. Zamoyskiego 31.

Rybczyński Jan Felicjan, ur. 9. 8. Kraków, ul. Puszkina 39. córka: Barbara Rybczyńska-Michnicka, 1907 w Piotrkowie, poszukiwany przez

## S. P. K. w świecie

### FRANCJA

Oddział SPK Francja, który odbywa swoje zjazdy co 3 lata, tegoroczny zjazd połączył z obchodem rocznicy Konstytucji Majowej. Odbył się on w dniach 3 i 4 maja w Paryżu.

Podczas otwarcia zjazdu, któremu przewodniczył prezes ustępującej Rady Oddziału, kol. Antoni Baranowski, przemówienie powitalne wygłosił wybitny przedstawiciel życia politycznego i społecznego. Wszyscy podkreślali ogromny i pozytywny wkład SPK w życie Polonii francuskiej. Z przemówień, które bynajmniej nie miały charakteru często spotykanych zdawkowych uprzejmości wynikało, że trudno sobie dziś wyobrazić pracę niepodległościową we Francji bez SPK, polskiego Paryża bez Domu Kombatanta, czy też Polonii północnej Francji bez Domu Kombatanta w Lille. Najtrafniej i najkrócej scharakteryzował rolę i dorobek SPK we Francji amb. K. Morawski, który powiedział, że skrót SPK to symbol pozytywnej i ofiarnej pracy obywatelskiej. Następnie przemawiali przewodniczący Oddziału Rady Jedności Narodowej, min. A. Demidecki; ks. red. F. Kaszubowski, imieniem Polskiej Misji Katolickiej; wiceprezes Zarządu Głównego SPK, kol. Stanisław Lis z Londynu imieniem władz głównych Stowarzyszenia, który jednocześnie przekazał od gen. Andersa serdeczne pozdrowienia dla kombatantów polskich we Francji i najlepsze życzenia dla zjazdu; p. F. Kędzia, prez. Federacji POO; prof. Z. Zaleski, prez. Związku Deportowanych i Więźniów Politycznych; p. B. Jagiełłowicz, prez. Związku Inwalidów Wojennych i p. W. Gordowski, prez. Koła 2 D.S.P.

Po części oficjalnej, przystąpiono do właściwych obrad. Po sprawozdaniach Rady (prezes A. Baranowski) i Zarządu (prezes M. Czarnecki, wiceprezes St. Pacyński i G. Tysowski, sekretarz St. Domański) i po sprawozdaniu Komisji Rewizyjnej wywiązała się dyskusja, w której zabierali głos wszyscy delegaci Kół SPK z terenu Francji. Szczególnie wiele uwagi poświęcono dwóm sprawom, tj. ocenie położenia w Kraju, które wykazuje konsekwentną likwidację osiągnięć tzw. października we wszystkich dziedzinach życia oraz zagadnienia włączenia młodzieży na emigracji do pracy publicznej.

Ustępującym władzom udzielono absolutorium z podziękowaniem. Specjalne podziękowanie Zjazd skierował pod adresem kol. C. Tysowskiego, za należyte prowadzenie spraw gospodarczych. Wyłoniona przez Zjazd Komisja Ideowa, pod przewodnictwem kol. gen. W. Piekarskiego zaproponowała szereg uchwał, które zostały przyjęte jednomyślnie.

Uchwaliły te brzmia:

1. Zjazd stwierdza, że SPK, posiadając swoje ogniwo organizacyjne we wszystkich krajach wolnego świata, prawidłowo oceniło wydarzenia w Polsce 1956 roku, a w szczególności tzw. „Rewolucję Październikową”. W konsekwencji organizacja nasza ani na chwilę nie uległa złudzeniu, ani też nie ustąpiła w walce z narzuconym Narodowi reżimem komunistycznym i jego agenturami na Zachodzie.
2. Utrzymując stałe łączność duchową z Krajem, z całą stanowczością podkreślamy, iż mamy wszelkie dane do twierdzenia, że nasza postawa ideaowa na pełne zrozumienie i poparcie Narodu. Toteż, gdy obserwujemy w Kraju powrotną falę ucisku, musimy położyć szczególny nacisk na konieczność zespolenia wysiłków całej Emigracji w dalszej walce o nasz cel zasadniczy, tj. o wolność i niepodległość Polski.
3. W związku z niestannymi wysiłkami reżymu, zmierzającymi do sparalizowania działalności niepodległościowej Emigracji, przy zastosowaniu nowych metod działania, a w szczególności penetracji w nasze szeregi, Zjazd z całym uznaniem podkreśla słuszność powziętych przez Radę Główną SPK we wrześniu 1957 roku uchwał, w sprawie wyjazdów do Kraju i współpracy z agenturami reżymu na Zachodzie.
4. Podejmując na terenie Francji akcję zainicjowaną w Londynie przez Zjednoczenie Polskie, Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych i Związki Ziem Wschodnich w W. Brytanii — apelujemy do wszystkich niepodległościowych organizacji polskich we Francji o publiczne żądanie:

- a) przedłużenia czasokresu trwania repatriacji z więzień i łagrów sowieckich, gdyż nie może być mowy o rozwiązaniu tego tragicznego zagadnienia w ramach dotychczasowej umowy reżymowo-sowieckiej, która wygasa w końcu bieżącego roku;
- b) rozszerzenia akcji informacyjnej, aby wiadomości o uprawnieniach do skorzystania z prawa repatriacji dotarły do wszystkich zainteresowanych;
- c) takiego wykonania umowy, które by umożliwiło wszystkim naszym rodakom jak najszybsze opuszczenie nieludzkiej ziemi sowieckiej.

5. W głębokiej trosce o jak najściślejsze współdziałanie z Narodem w celu przyspieszenia chwili uwolnienia naszej Ojczyzny z jarzma reżymowo-sowieckiego stwierdzamy, że dzisiaj pierwszym obowiązkiem polskiej emigracji politycznej jest walka ze źródłem zła, jakim jest okupacja komunistyczna Polski i katastrofalna dla Narodu gospodarka reżymu.

Z koleji dokonano wyborów nowych władz Oddziału na okres dalszych 3 lat, tj. Rady Oddziału, złożonej z 15 osób, Zarządu, Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego. Przewodniczącym Rady wybrany został ponownie kol. A. Baranowski. W skład Zarządu weszli kol. kol. M. Czarnecki — prezes, G. Tysowski i S. Pacyński — wiceprezesi, S. Domański — sekretarz, oraz C. Chowaniec, M. Jurkiewicz, K. Szabelski i A. Tokarski — członkowie. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej wybrany został kol. A. Potoczek.

Zjazd zatwierdził budżet Stowarzyszenia na rok 1958 i uchwalił wytyczne finansowe i działalności ogólnej, na okres najbliższych 3 lat.

Na zakończenie Zjazdu wysłano depeszę do gen. Andersa z wyrazami żołnierskiego oddania.

### NOWA ZELANDIA

W dniu 20 kwietnia br. w Wellington, odbyło się Walne Zebranie Oddziału SPK, pod przewodnictwem kol. B. Bogackiego. W Zjeździe wzięło udział 39 członków, zamieszkałych w Wellington i okolicy oraz delegacje Kół z Auckland i Hamilton.

Sprawozdanie z działalności Zarządu złożył wielce zasłużony dla rozwoju SPK, prezes ustępującego Zarządu, kol. J. Jaworowski. Zarząd Oddziału przejął w ciągu roku bardzo żywą działalność zarówno na odcinku organizacyjnym, jak przede wszystkim w dziedzinie kulturalno-oświatowej. SPK w Nowej Zelandii utrzymuje ścisłe i przyjazne stosunki z innymi organizacjami polskimi i nowozelandzkimi, w szczególności z Zarządem instytucji „CORSO”, która to organizacja przekazała duże ilości odzieży i obuwia do Polski na adres Księdza Kardynała Wyszyńskiego, z przeznaczeniem dla repatriantów z Rosji.

Budżet Oddziału przedstawia się dobrze. Charakterystycznym jest, że bardzo poważną pozycję po stronie dochodów, bo 4179, przedstawiają „imprezy”. Okazuje się, że można tą drogą przysporzyć organizacji środków na działalność. Po sprawozdaniu Komisji Rewizyjnej, która podkreśliła wzorowe prowadzenie gospodarki przez Zarząd, nastąpiła dy-

skusja, w której na tle dorobku dotychczasowego i sytuacji na uchodźstwie omówiono plan pracy na przyszłość, i udzielił on ustępującym władzom absolutorium.

Zebrań z załem przyjęli do wiadomości, że kol. Jaworowski, ze względu na osobiste warunki, nie mógł kandydować ponownie na prezesa. Wybrano Zarząd Oddziału w składzie: prezes — kol. B. D. Larzac, członkowie — kol. kol. M. Gorzkowski, H. Bajko, S. Kowalezyk, F. Kozera, E. Mroczek i K. Stasiewicz oraz koleżanki M. Gaertner i S. Dąbrowska. Komisję Rewizyjną i Sąd Koleżeński wybrano w składzie niezmiennym.

W wolnych wnioskach powzięto uchwały, w której, powołując się na dyrektywy Władz Głównych SPK, potępiono utrzymywanie jakichkolwiek stosunków z reżymem warszawskim i jego przedstawicielami w Nowej Zelandii. Inne uchwały dotyczyły teatru, prowadzonego przez sekretarza Zarządu Oddziału kol. F. Kozera, o czym pisaliśmy już nieraz, przy czym zalecono Zarządowi przyjąć z pomocą temu teatrowi, w planowanym wyjeździe do Australii.

Nowym władzom Oddziału Zarząd Główny życzy serdecznie najlepszych wyników pracy w nadchodzącym roku.

### HISZPANIA

Koło SPK Madryt odbyło dnia 21. 3. br. walne zebranie, które wybrało władze Koła na rok 1958-59, w następującym składzie:

Z a r z ą d: prof. A. Deryng — prezes, ks. Marian Walorek i Józef Łobodowski — wiceprezesi, Kazimierz Tytko — sekretarz, Stanisław Ryłski — skarbnik, Maria Bienertowa — członek zarządu, Komisja Rewizyjna: Antoni Gajda, Jerzy Jarząbek, Stanisław Tymkow, Sąd Koleżeński: Zofia Mikulska, Zymunt Zubrzycki, Stanisław Serdakowski.

### NORWEGIA

W dniu 11 maja przy udziale dużej ilości członków i w bardzo harmonijnym nastroju, odbyło się Walne Zebranie SPK.

Wybrano nowy Zarząd w następującym składzie: prezes — Klemens Harmaciński, wiceprezes — Zbigniew Szyperki, sekretarz — Józef Mosciński, ref. oświatowy — Edward Piwowarski.

Zebrań wyraziło żal, że wioioletni, energiczny i zasłużony prezes kol. J. Orlikowski nie kandydował w tym roku, ze względów osobistych.

### ITALIA

Dnia 17 maja br. odbył się w Rzymie, XI zwyczajny Walny Zjazd SPK w Italii. Przewodniczył kol. Mieczysław Zgorzelski, sekretarzowali: kol. Stanisław Małkowski i kol. Karol Gold.

Właściwe obrady poprzedziła msza św. oraz część oficjalna, w której przemawiał ambasador R.P. przy Stolicy Apostolskiej dr. K. Papee, oraz odczytane zostały pozdrowienia przesłane Zjazdowi od generała Wł. Andersa, Zarządu Głównego SPK, Zarządów Oddziałów w Belgii, Norwegii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii, Dowództwa Oddziału Wartowniczych, Polskiego Komitetu Emigracyjnego w Nowym Yorku, Instytutu im. Gen. W. Sikorskiego, generałów Duchą, Bora-Komorowskiego i Rudnickiego.

W części zwyczajnej Zjazdu, po złożeniu przestępującej Zarząd sprawozdania ogólnego i finansowego, udzielono absolutorium z podziękowaniem przez akklamacją.

Wybrano nowy Zarząd na przedłużoną kadencję dwóch lat, w następującym składzie: prezes — Witold Zahorski (przez akklamację), wiceprezes — Adam Patala, sekretarz — Roman Szenwie, skarbnik — Alojzy Adamski.

Walny Zjazd upoważnił ponadto Zarząd do obsadzenia stanowiska drugiego wiceprezesa w drodze kooptacji.

Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został kol. Bolesław Ziemiński.

Przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego — Kazimierz Chmielowski.

Walny Zjazd powziął szereg uchwał i rezolucji. W sprawach związanych z Krajem, stanął na stanowisku uchwał Władz Głównych Stowarzyszenia. Zjazd dokonał poprawek i zmian statutowych; przesłano je do zatwierdzenia Prezydium Rady Główniej.

Na Zjazd usiłowali bezskutecznie dostać się prowokatorzy, nastani przez czynników reżymu.

W dniu 18 maja odbyła się doroczna pielgrzymka na Monte Cassino, zorganizowana przez Oddział SPK. Dzięki uzyskaniu autokarów od wojskowych władz włoskich, w pielgrzymce tegorocznej wzięło udział ponad 100 osób, w tym uczestnicy Walnego Zjazdu SPK.

Mszę św. na cmentarzu odprawił i wygłosił kazanie, ks. prałat Meyszowicz. Ponadto ks. dr. W. Rubin, odprawił mszę św. w Opactwie, Złożono wieńce od Ambasady R.P. przy Stolicy Apostolskiej, od Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, od Siostr Nazaretanek, od miasta Cassino i od włoskich kombatantów.

Władze polskie reprezentował amb. dr. K. Papee, a ze strony włoskiej obecni byli prefekt i syndyk.

Uczestnicy manifestacji zwiedzili następnie pole bitwy, gdzie prezes kol. W. Zahorski, udzielił informacji o przebiegu bitwy tym uczestnikom pielgrzymki, którzy byli na Monte Cassino po raz pierwszy (z kraju, Szwajcarii i Stanów Zjednoczonych).



Szura uniosła rękę i wyciągnęła palec z pierścionkiem.  
— Jakże bym mogła zapomnieć! Nie widzisz, że stałe go noszę...  
— Bo widzisz... dowiedziałem się, że niedługo wyjeżdżamy do Polski. A wtedy w Dołżańsku i w komyskach przecież umiawialiśmy się, że i ty pojechałabyś ze mną. Więc dlatego...  
Dziewczyna przystała. Ciemny rumieniec spłynął aż do szyi. Zatrzepotała rzesami.  
— Na pewno wiesz, że wyjeżdżacie?  
— Pan Gaszewski mówił, że przyszła taka wiadomość z Rostowa. A on pierwszy dowiaduje się, bo jest w Komitecie. Więc mówił, że eszelony zaczyna już w przyszłym tygodniu. Do Rostowa morzem, potem koleją. Pojechałabyś?  
Szura przystuliła się gwałtownie do chłopca i spojrzała z bliska. Złociste iskierki zapaliły się w oczach i zaraz zgasły.  
— Chodź szybciej! — pociągnęła go za rękę. — Zanaadto z tyłu zostajemy.

Szła jakis czas w milczeniu, wybierając miejsca mniej rozgieknie i przeskakując przez bajora. Jaskrawe słońce odbijało się w kaluzach, jak w lustrzanych szybach. Pierwsza odezwała się Szura.  
— Ja o tym często myślałam przez ostatni rok. Najpierw to mi się wszystko wydawało łatwe i proste... Pewnie, że chciałabym z tobą pojechać. Ale... tak mi się widzi, że lepiej będzie odjechać. Ja ci się wtedy spodobałam, ale przecież dzieci byliśmy... A i teraz... Kto wie, może za trzy, cztery lata nawet spojrzeć na mnie nie zechcesz. Ja jestem prosta dziewczyna, a ty na pewno szkoły będziesz kończyć. I cóż ja bym w Polsce przez ten cały czas robiła?  
— Jak to co? Mieszkać będziesz z nami, a jak skończę gimnazjum, zaraz się pobierzemy.  
— Tak się to mówi...  
— Moja matka ciebie lubi i...  
— Lubi — przerwała mu niecierpliwie — lubi z wdzięczności, żem zadbała o ciebie, jakieś był ranny, i żem pieniądze przynosiła... A to jeszcze nie znaczy, żeby mnie chciała za synową. A już twoje siostry to na mnie zawsze koso patrzyły, jakem przychodziła. W Dołżańsku w komyskach to nie to samo, bośmy byli ze sobą na równi, jak wszyscy. A w Polsce ty będziesz panicz, jak dawniej, a ja co? Tyle że czytać i pisać umiem. Na służącą do ciebie to by twoja matka może mnie zgodziła, ale nie na żonę...  
Stasiowi gorąco uderzyło do głowy. Chwył ją jedną ręką za przegub dłoni, drugą — za włosy. Zatrzymali się, ciężko dysząc. Szura chciała się wyrwać, ale jej nie puścił.  
— Nie szarp mnie! Przecież boli...  
— Tyś mnie rozluźniła! W listach toś potrafiła udawać i gryzmość o miłości. A teraz nie chcesz... Pewnieś sobie kogoś starszego znalazła.  
Roześmiała się wesoło.  
— Głupiś! Zamiast szarpać, lepiej byś pocałował. Byli tacy, co mnie szukali, ale nie znaleźli. Lolka to przez całą zimę mnie nachodziła i namawiała, że — mówiła — jeden z Ispokommu świata za mną nie widzi... I wieszorami przychodził pod dom, żem na podwórku bała się wychodzić. A na mieście wysłysz, mnie nie zaczepiają? Jeszcze jak! Więc głupstw nie opowiadaj! Gdybyś tu został, a nie wyjeżdżał, to byś się szybko dowiedział, czy cię rozluźniłam.  
— To dlaczego nie chcesz jechać?  
— Właśnie dlatego!

Poprawiała rozwichrzone włosy. Obejrzała się. Do pierwszych domów było daleko. Wóz już wjeżdżał w ulicę. Szura spojrzała jeszcze raz, roześmiała się znowu, zarzuciła mu ramiona na szyję.  
— Lubię czy nie lubię? — powtarzała, całując raz po raz. Oderwała się wreszcie od chłopca.  
— Chodź, bo na obiad się spóźnisz. Przyszedłbyś najlepiej do mnie, tak przed wieczorem, to byśmy wszystko dokumentnie obgadali. A? Albo jutro. Zaraz przecież nie wyjeżdżacie, czasu mamy dość.  
Przed domem podała mu rękę.  
— Więc co? Przyjdiesz?  
— Zostań na obiedzie! Matka wszystkich zapraszała...  
— Lepiej nie! Zapraszała Gaszewskiego i tego drugiego. Jeszcze pomyśli, że się narzucam. Widzisz, ja się teraz harda zrobiłam — śmiała się, mrużąc oczy. — Chłopcy się za mną na ulicy oglądają, tom zhardziła. Ale ty, Stasiu, nie sumuj! Ja ciebie... jak dawniej. I jeśli sobie o mnie po dojdzie do lat w swojej Polsce przypomnisz, to będziesz wiedział, gdzie mnie szukać. Ja czekam, mnie się nie śpieszy. Jakby się śpieszyło, to bym ten pierścionek już dawno na inny zamieniła. Więc pamiętaj, przyjdź przed wieczorem. Będę czekać.  
Wciąż śmiejąc się, przeszła ulicę. Patrzył na nią zmieszany i jeszcze nieco gniewny. Jeszcze dziś rano miał pewność, że Szura będzie napraszała się na wyjazd, a tymczasem... Może

JÓZEF ŁOBODOWSKI

# W STANICY

POWIEŚĆ

mówi prawdę, a może jest w tym coś innego. Ech, żeby tu był Aszwajanc!

Długi czas czyścił buty z lepkiego błota. Gdy wszedł, matka już podawała do stołu. Nie pytało go o nic i na nieobecność Szury nikt nie zwrócił uwagi, co sprawiło mu ulgę. Rozmowa nie kleiła się i dopiero, gdy przy zupie Majewska nalała kieliszki, mężczyźni nieco ożyli się. Gaszewski wypyttywał Wójcika o wydarzenia w stancyi.

— Jakiś wychodzili — opowiadał cieśla — to do głównej bitwy jeszcze nie doszło. Spaliły się całe dzielnice, ale czerwoni mieli ciężkie straty. Pewnie, po drodze widzieliśmy idące posiłki. Tak jakby ze dwa bataliony. Do tej pory musieli rozbić Kozaków...  
— A ja słyszałem — wtrącił gorzelany — jakem tu szedł na pogrzeb, że bolszewicy spod Czelbaskiej wycofali się. W bitwie na białą broń Kozacy ich odrzucili. Tak przynajmniej mówił jeden mieszczanin, co do Sosyki jeździł i wczoraj wrócił. I w gazetce piszą tylko tyle, że „karne działania rozwijają się pomyślnie...”. Gdyby Czelbaską wzięli, to by o tym wyraźnie napisali. A wyście kiedy wyszli? Z tydzień temu, co?  
— Przyszliśmy przedwczoraj wczesnym rankiem — obliczał Wójcik — a w drodze byliśmy dwa dni i trzy noce... Znaczący, cztery dni temu. To by tak wyglądało, że wielka bitka była nazajutrz po wyjściu...  
— W tak krótki czas dotarliście do Jejska? Na piechotę?  
— A nie... bośmy zaraz za stanicą konie zdobyli. Gdyby nie to zmitrężylibyśmy ze dwa dni dłużej. Ze Stasia teraz jeździec zawołany. Kudy lepiej ode mnie na siodle się trzyma!

Chłopiec jadał i nie odzywał się ani słowem. Zerknął od czasu do czasu na Gaszewskiego, czy ten nie puści farby na temat wyjazdu. Ale gorzelany nie poruszał tej sprawy. Dopiero zagadnął go Wójcik.  
— Mówiono mi, że pan w Polskim Komitecie pracuje... Nie słychać to nic o wyjeździe?  
Gaszewski pokiwiał głową.  
— Z dnia na dzień czekamy. Dawno zapowiedziano, że repatriacja obejmie Północny Kaukaz na wiosnę. Były ostatnio wieści z Rostowa, że jeszcze w tym miesiącu, ale nie pewnego nie wiadomo. Jak to z bolszewikami! Taboru kolejowego brak, stąd ta zwłoka.  
Cieśla położył ciemne dłonie na stole.  
— Aż mnie warem oblewa, jak pomyślę, że znów swojski kraj obacę! Żeby pozwolili, a papiery dali, to bym na eszelon nie czekał, buty zdarł do podszew, a na piechty podrałował. Dziwiąty rok idzie, odkąd po obcym świecie się tułam.  
— Nie pan jeden. Wszyscy za tym samym tęsknimy. Ale już niewiele zostało. I najwyższy czas! I leż polskich rodzin resztkami goni i niejedna do jesieni nie dociągnie. Straszne lato się tu zapowiada. Wczoraj znowu kilka osób umarło z głodu na ulicy. A w Rostowie to tysiące uciekinierów z Nadwołża koczując pod gołym niebem. Co noc strzelanina, bo napadają na składy z żywnością i na prywatne domy. Milicja ich wystrzeluje bez litości.

Stasiowi przyszło do głowy, że mógłby, nie czekając na transport okrętem, pojeść do Rostowa razem z Szurą na piechotę. I tam zaczekać. Na pewno w jejskim porcie przy wchodzeniu na pokład będą sprawdzać papiery, a w Rostowie przelisznąć się do pociągu byłoby łatwiej. Szurka się droczy, bo honorna, ale w końcu chyba się zgodzi. Musi ją namówić. Tak się zamysłił, że nie zwracał uwagi na to, co się dzieje dokoła, aż go siostra trąciła łokciem.  
— Dlaczego nie jiesz? Kluski wystygają!  
Skromny obiad dobiegał końca. Wójcik i Gaszewski odsiedzieli ceremonie i zaczęli się żegnać. Matka dziękowała za pomoc przy pogrzebie. Popłakała się przy tej okazji, a za jej przykładem poszły zaraz obie dziewczyny. Staś przyglądał się z boku. Oczy go piekły, ale nie wydusił z nich ani jednej łzy. Wyszedł za gościami i odprowadził ich do furtek. Gdy Gaszewski podał mu dłoń na pożegnanie, chłopca opanowała nagła wściekłość. Manifestacyjnie założył ręce za plecy i powiedział, cedząc każde słowo:  
— Nieladnie oszukiwać! Matce wszystko jedno, czy by się dowiedziała dziś czy jutro. Pana Wójcika pan też zbujał. Przecież wiadomo, że w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy.  
Zawrócił się na pięcie i pobiegł, ile sił w nogach do ogrodu.

(72)

Wylaził na sweje ulubione drzewo i zaraz ochłonił. Ogarnął go wstyd i spóźniony żal. Złamał słowo, nie utrzymał sekretu. Zachował się jak byle szczeniak. Objął pień rękami, przytulił się rozgrzanym policzkiem do szorstkiej kory i gorzko zapłakał.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Gaszewski miał jednak rację. Gdy wiadomości, otrzymane z Rostowa, potwierdziły się oficjalnie i nie można ich było ukrywać dłużej przed panią Majewską, rozpacz, tłumiona po śmierci męża i ojca, wybuchła ze zdwojoną siłą. Myśl, że stary pułkownik umarł na kilka dni przedtem, wydawała się wdowie i jej córkom tak potworna, tak nie do wiary, że nie znajdowały dla siebie pociechy. Chociaż władze sowieckie wyznaczyły zaledwie tydzień czasu na załatwienie formalności i przygotowanie do wyjazdu, matka Stasia przez dłuższy czas nie reagowała zupełnie. Pograżona w całkowitym odrętwieniu, dreptała po domu bez sensu i składu, niby to zabierała się do pakowania, aby znowu popaść w bezwład i wrócić do rozpamiętywania swego nieszczęścia.

Stas na własną rękę wyszukał w szpargałach, pozostałych po ojcu, potrzebne papiery i zaniósł je do Komitetu. Wstydził się Gajewskiego za swój wybuch w dniu pogrzebu, ale gorzelany, widząc, wspaniałomyślnie mu przebaczył, bo nie wspominał o zajęciu ani słowem. Gaszewska i inne Polki odwiedzały dom Majewskich codziennie, usiłując wyperswadować wdowie, że czas leci i trzeba przygotować się do wyjazdu.  
Dopiero na trzy dni przed wyznaczoną datą matka jako tako powróciła do siebie. Pieniądze Aszwajancza wystarczyły na zakupienie kilku funtów pszennej mąki, ćwiartki końskiego mięsa, butelki słonecznikowego oleju i sporego wiaderka z rybami. Z mąki upieczono suche placki, mięso i ryby uwędzono. Pani Majewska obliczyła, że powinno wystarczyć na dziesięć dni. Chyba dosyć na dojechanie do granicy. Zresztą, w drodze pozostawało jeszcze trochę bielizny i nawet resztki biżuterii. Te zapasy zawsze można było wymienić na jedzenie, gdyby podróż miała się przeciągnąć. Były więc podstawy do przypuszczenia, że rodzina dojedzie do ojczyzny bez zaznania prawdziwego głodu.

Gaszewski, który sprawował czynności zastępcy przewodniczącego Polskiego Komitetu, instytucji, uznanej przez władze za coś w rodzaju konsulatu, doradzał, żeby zabierać jak najmniej bagażu. „Na toboły w eszelonie nie będzie miejsca. Ograniczyć się do tego, co najniezbędniejsze, a resztę sprzedać”. Staś codziennie latał na targ z jakimiś łachami, ale powodzenie było mierne. Kozacy do miasta w ogóle od dłuższego czasu nie przyjeżdżali. Połowa mieszkańców głodowała i amatorów na stare ubrania, porcelanowe nakrycia, sztućce i naczynia kuchenne prawie nie było. Ostatecznie trzeba było sprzedawać za bezcen. Gdy Staś za duży mosiężny rondel otrzymał dwa pieczone pierożki z końskim mięsem, pani Majewska wpadła w pasję. „Rozdam wszystko sąsiadom, a na targ więcej nie pójdiesz! Powariowali!” Pierożki jednak starannie podzieliła między czworo i każde zjadło swoją część. Końskie mięso ważyło wówczas znacznie więcej niż najlepszy mosiądz.  
Przy okazji tych handlowych spacerów Staś odnowił wiele starych znajomości. Zaraz pierwszego dnia po pogrzebie spotkał pana Sinicyna. Był kamerjunker Jego Cesarskiej Mości wrzucił się, długo trzymał chłopca w objęciach i zasyłał go pytaniami. Stary dworak posunął się znacznie, kaczo nos mu się wydłużył, na skroniach lepiły się kosmyki brudno-siwych włosów. Sprzedawał po dawnemu papierosy i barwne pocztówki, ale skarżył się, że handel oplaca się znacznie mniej niż za nielegalnych czasów. Tyle, że wraz z Nep-em znikło ryzyko.  
Zaraz potem spotkał Chrypuna. Ten rozrzewił się na widok Stasia jeszcze bardziej niż Sinicyn. Mia stragan na tym samym miejscu, jak zawsze postukiwał drewnianą nogą i opowiadał niesmiertelne historie o generale Skobielevie. Chłopiec musiał dokładnie opowiedzieć swoje przygody z ostatnich dwóch lat. Do starego Chrypuna miał pełne zaufanie, więc nie ukrywał niczego.

Od razu uderzyło go, że na targu prawie nie było widać handlujących dzieciarni. Jakaś wychudała dziewczynka w strzępach pensjonarskiego mundurka, ofiarowywała piskliwym głosem bieliznę, rozścieloną na wypłowiałym kilimku. Dwie sniade Ormianeczki, sprzedające kolorowe karmelki i rachatlukum po-dejrzanej czystości. Zresztą nikogo więcej. Na bulwarach zahaczył oberwańca w tym samym mniej więcej wieku. Wydawało mu się, że go zna... Ulicznik spojrzał podejrzliwie, ale zaraz geza mu się rozjaśniła w szerokim uśmiechu.  
— Ej, ty, komyszewski bohater! Skądęś się wziął? Myśmy myśleli, że już dawno w piekle diabłom usługujesz.  
Przypominali się sobie nawzajem. Zanim poszedł razem z innymi w komysze, Żenka zajmował się drobną kradzieżą. Potem wrócił do swego zawodu. Chwytało go kilka razy, zawsze udawało się jakoś wykręcić.

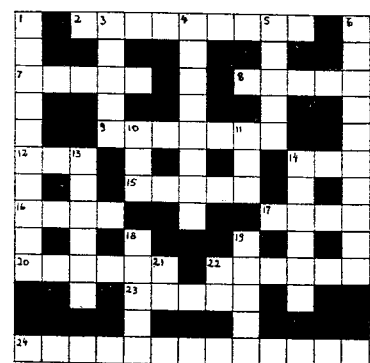
(D.c.n.)

**PO PROSTU WSZYSTKO** w polskim sklepie  
co potrzebne w polskiej kuchni **PONA DELICATESSEN**  
kupisz tanio i dobrze 371, CALEDONIAN RD., LONDON, N. 7.  
Tel. NORTH 6069  
Wysyłamy paczki żywnościowe do Polski w dowolnie wybranych zestawach.

**DWIE POLSKIE FIRMY WE WSPÓLNYM LOKALU**  
**OPTYK D. S. GUNSTON F. A. D. O.**  
Okulary i naprawy, okulary do Polski na recepty krajowe.  
Godz. przyj.: 9.30—1, 2.15—6, w soboty 9.30—1 pp.  
**F. B. STUDIOS ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY**  
i SKŁAD PRZYBORÓW FOTOGRAFICZNYCH, WSZELKIE PRACE FOTOGRAFICZNE  
(były operator firmy „DORYS” w Warszawie)  
ADRES: 218 Kensington High Street, London, W. 8. Telefon: WES 2581.

**HURTOWNIA I SKLEP ŻYWNOSCIOWY**  
**A. J. ROBIŃSKI**  
**ZAOPATRY CIĘ WE WSZYSTKO**  
**CZEGO WYMAGA POLSKA KUCHNIA**  
Nowy adres hurtowni: 41, HARRINGTON RD., SW. 7.  
Sklep detaliczny: 184, HOLLAND PARK AVENUE, W. 11.

### KRZYŻÓWKA KONKURSOWA Nr 276/58



#### Znaczenie wyrazów.

Poziome: 2) gladiator, symbol buntu; 7) rodzaj dźwięku; 8) najważniejsze, doroczne; 9) „Widać tęczę, ... — już promień wytrysnął, po okrągłych niebiosach wygięty przeblysłany”; 12) i 14) dziś część Jugosławii; 15) orzech; 16) i 17) wyszła trawa i ptaszek; 20) inaczej Hiszpania, lub Gruzja w starożytności; 22) drużyna lwowska; 23) ruiny; 24) imię i nazwisko kniazia litewskiego, który wojował przeciwko Zygmuntowi Staremu.  
Pionowe: 1) wymusił na Janie Kazimierzu ugodę w Łęgonicach; 3) „miara” ziemi; 4) umiejętność; 5) żal; 6) kompozytor polski; 10) potężny głos; 11) drzewo; 13) figura geometryczna; 14) odwołanie; 18) postać Sienkiewicza; 19) szereg wojskowy; 21) miara powierzchni; 22) dźwięk fonetyczny.

Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 12 lipca br.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI KONKURSOWEJ Nr 270 58

Poziome: 1) Jan Wyhorski, 7) sero, 9) cierpko, 10) odciski, 11) ospa, 14) i 15) szarafań, 16) tato, 18) wybiegi, 21) trzmiel, 22) tytán, 23) pobratymcy.  
Pionowe: 2) wisus, 3) hocki, 4) wieko, 5) Polonka, 6) i 20) poczta, 8) recessja, 12) pendant, 13) Łopiany, 17) ogier, 18) walet, 19) Bytom.

### WYNIKI LOSOWANIA OGŁOSIMY W NASTĘPNYM NUMERZE

### MUZEM NOWOWIEJSKIEGO

Poruszana od kilku lat sprawa urządzenia w Barzewie, w domu gdzie mieszkał Feliks Nowowiejski, muzeum pamiętek, po warmińskim kompozytorze, doczeka się wreszcie w roku bieżącym rozwiązania. Rozpoczęto już w tym domu prace renowacyjne, które zostaną zakończone wraz z przekwaterowaniem osób zamieszkujących jeszcze w tym budynku. Na parterze tego domu urządzone będzie mieszka i powiatowa biblioteka i czytelnia, na piętrze zaś — właściwe muzeum. Większość eksponatów dostarczy zamieszkały w Poznaniu syn kompozytora, pewną ich ilość ma w swym posiadaniu wydział kultury Prez. WRN, liczne pamiętki znajdują się jeszcze w rękach prywatnych i zostaną przez muzeum wykupione. Np. w Jarotach znajduje się w prywatnym posiadaniu fortepian, na którym ongiś grywał Feliks Nowowiejski.  
(„Warmia i Mazury“)

**DUKE**  
SPORTSWEAR SWETERKI  
nieb., różowe, złote, białe, czarne  
DUK golfowe z ręk.  
osiągają w Polsce do 260 zł. za szt.  
6 szt. — cto 30 zł. ... £ 2.10.0  
24 sztuki ... £ 8.15.0  
DUD z dekoltem bez rękawów  
osiąg. do 225 zł. za szt.  
6 szt. — cto 20 zł. ... £ 2.5.0  
9 szt. — cto 30 zł. ... £ 3.5.0  
36 sztuk ... £12.0.0  
VIT golfowe Vitaknit z ręk.  
osiągają do 225 zł. za szt.  
6 szt. — cto 30 zł. ... £ 2.5.0  
24 sztuki ... £ 8.0.0  
PUR kardigan Puritex z ręk.  
osiąg. do 400 zł. za szt.  
4 szt. — cto 100 zł. ... £ 2.10.0  
**HASKOBA**  
121, Earls Court Rd., London, S. W. 5.  
Telefon: FRE 7888.

Czytaj książkę polską

